

K. F. PASTERNAK.

---

KILKA OBRAZÓW  
TOWARZYSKICH.

---

Dozwala się drukować z warunkiem, aby  
po wydrukowaniu złożone były trzy exem-  
plarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1830  
dnia 21 Paźdz.

*Cenzor L. Borowski.*

P A N  
W A L E R Y .

POWIEŚĆ Z XIX WIEKU.

PRZEZ

KLEOFASA FAKUNDA PASTERNAKA.

1154  
Nic stałego na świecie,  
Radość się z troską plecie.  
KOCIAŁOWSKI.

*Troffer  
Zalesie*

---

WILNO,

NAKŁADEM I DRUKIEM TH. GLÜCKSBERGA  
KSIĘG. I TYP. CESAŃSKIEGO UNIWER. WIL.

1831.

211

211

1123  
ROZMAITEGO STANU I POWOŁANIA

# PRÓŻNIAKOM

POWIEŚĆ TĘ

POŚWIĘCA

AUTOR.

Kraus-1273



1056 v 26

---

# I.

## PRZEDPOKÓJ.

---

Omne tulit punctum, qui miscuit  
utile dulci.

HORAT.

Szczęśliwy kto wdzięk, wraz z po-  
żytkiem złączył.

**M**ałe czy wielkie, nudne czy za-  
bawne, nierozsądne czy rozumne,  
uczone czy płaskie dzieło — potrze-  
buje zawsze przemowy. Tak przy-  
najmniej jeden z lepszych naszych  
utrzymywał pisarzy i ja o mało że  
temu nie wierzę — „Dom sieni —  
dzieło potrzebuje wstępu,„ powia-  
wiada mój autor — ha! niechże

sobie i tak będzie, tenrozdział przeznaczam na przedpokój do mojej powieści.

Bodajby lieho tego Horacyusza, którego nieszczęsne prawidło: *utile dulci*, stoi tu na początku; nie mały to sęk dla gryzmołów, i iluż o tym prawie zapomina — Kto wie? może i w tych kilku arkuszach czytelnik ani jednego, ani drugiego nie znajdzie? Już to dla tego, że gdzie niema tam znaleźć trudno, a raczej nie można, już to, że nieszczęsny tytuł *powieści*, źle go o mnie uprzedzi — Czy tak, lub inaczej, mnie to zupełnie jedno: kto ziewając do czytania siada, ten nie długo zaśnie, lecz kto z radośnym zaczyna uśmiechem, może się trochę zabawi. Pro-



szę mi pozwolić mieć taką nadzieję — bez niej pewnoby nie pisał! — Ale przystąpmy *ad rem*.

Napisałem powieść! jest to bez wątpienia grzech nieodpuszczony, w oczach tych ludzi, którzy mnie mają, że trzeba kilku lat ciągłej pracy na napisanie tak mało znaczącej rzeczy. Gdyby istotnie tyle czasu powieść kosztować miała, pisałiby ją zapewne tylko z professyi bazgracze, i ci, których niemcy *Brodgelehrten* zowią, to jest — uczeni dla chleba.

— Czy mało, czy wiele kosztowała czasu, rzecz mi jaki surowy krytyk, dość że te chwile, które jej pisaniu poświęciłeś są stracone, zmarnowane i t. d.

— Wybacz, wybacz porywczy sędzio, odpowiadam; Wolter, ów to sławny bazgracz francuzki powiedział kędyś, niepomnę na której karcie, że więcej ceni tych którzy się dla bawienia ludzi poświęcają, jak tych co ich nudzą gromadząc nudne komentarze i zmyślane a nibyto historyczne bajki. Pan Wolter miał słuszość, i ja tak samo sądzę, i właśnie dla tego — powieści piszę.

— Nie dość, odeprze znowu krytyk namarszczywszy czoło, powieść rzadko nas bawi, a ty śmiały gryzmoło, jak śmiesz utrzymywać, że ja z ciebie kontent będę.

— Na to po cichu odpowiadam  
*mea culpa.*

— Recenzent mówi dalej (ale to wszystko *tylko* przez przypuszczenie): kiedy cię zresztą mój panie ręce świeżbiały, czemu co innego nie pisałeś? piękna mi zaleta: pisarz powieści!!!

Następuje moja odpowiedź.

— Pisałem mości panie sędzio, bo mię od młodu dręczy nieszczeniwa choroba, zwana autoromaniją, z którą podobno i do grobu pójść przyjdzie — Wiele na to leków używałem, ale to defekt nieuleczony, musiałem pisać. Może też ja pisząc, napisaćbym kiedy potrafił nudną Tragedją, lub Komedją bez celu i sensu — ale woląłem zrobić złą powieść, bo w tym rodzaju i mierność jakokolwiek po-

płaca — Niechżebym tylko napisał jaką uczoną rozprawę!! naprzód: niktby jej nie czytał, powtóre: kto-  
by się dotknął, nieomieszkałby do-  
wieść, że jej autor źle zrozumiał o  
co idzie, źle napisał, i źle przed-  
miot obral — a to wszystko dla te-  
go, że się u niego nie radził; a ko-  
niec końcem zbutwiałyby ciężka  
praca w korzennym sklepie.

Napisać książkę dydaktyczną!  
żaki tylko gryzmolić będą na niej  
i czytać, same niepojmując co czy-  
tają — to nie najpochlebniejszy  
zawód?!

Poemat bohaterski! — na to trze-  
ba dobrego zapasu imaginacji, któ-  
ra teraz bardzo podrożała, bo jej  
malo gdzie znaleźć, a ja ledwie na

opędzenie codziennych potrzeb dostać jej mogę, nie żebym nią szafował rozrzutnie! Kto się Homerem rodził, niech probuje — gotów jestem pobłogosławić go na drogę — błogosławieństwa dziś staniały!

Być poetą! — życzyłbym sobie, ale to lat ze sto i więcej wprzód, nimem się miał honor urodzić — Teraz nadto już kleciwierszów, żebym ja był potrzebny do ich grona; trudno też także czerpać z Kastalskiego źródła, a ja sobie nic życzę jak ów co się napił z kałuży lub rynsztoka, udawać natchnionego. Nieboszczyk ś. p. Horacyusz nie pozwolił miernym ludziom, z począć nicć do czynienia!

Pisać Ballady? być Romantykiem? — Otóż sposób pozyskania sławy, w dzisiejszym czasie. Te czułe wiersze, których nicrozumiejąc tyle ludzi uwielbia, te podobieństwa, te postacie, te czucia gorące — chwytają za serce! Młode panienki w kątku, niewidziane, ukryte lubią czytać te bezładne zapęły i zalewać się łzami, których przyczyny nie wiedzą. Gdzie indziej młodzieniec porywa książkę, uczy się kochać, zapomina deklinacji, a wzdycha jak najęty do pierwszego czupiradła, które mu się przed oczy nawinie. Starzec czyta równie, czuje mocniej bijące serce, zdaje mu się że kochał, że jeszcze kocha, miska wylysiałą glo-

wę przed zwierciadłem, prostuje nogi, chowa starannie tabakierkę i okulary, śpieszy w niewczesne załoty, kupuje sobie żonę i dwoje ludzi nieszczęśliwemi robi. Oj nie chcę być Romantykiem!

— Więc pisz Historję, powie mi ktoś zapewne — Upadam do nóg — Szperać między staremi szpargałami; dla najmniejszego szczegółu tysiące ksiąg przewrócić — a do tego i starych i in folio! Stracić czas, oczy i rozum! odbierać ulubioną pastwę molom, myszom i szczurom, szukać tam prawdy gdzie jej nigdy nie było? — to nie każdy potrafi.

Więc pisać satyry, oblec się pozorom surowego postrzegacza, na

wszystko się krzywić, wszystko nicować, zamiast wad malować osoby — nie mogę. Niech kto chce pisać Komedję lub Tragedję, długie, nienaturalne rozmowy; niech się zdobywa na karczemne koncepta lub tragiczne susy i nudne monologi — i to nie dla mnie.

Więcbym się kto może chciał zrobić Romantykiem — o nie, nie, pomyliłem się — Grammatykiem chcę mówić? — Spierać się o z lub s, o kréski i punkciki?? — nadto mam rozumu, żebym to zrobił. — Jeszcze tu brak tylko żeby mi kto doradził pisać romanse — ale o tém to niema co i mówić.

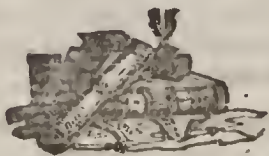
Już tedy przebrałem wszystkie prawie rodzaje, a dotąd nic prócz



powieści, dobrém być nie uzna-  
 lem; krytyk już widzę marszczy  
 czoło, brwi ściska i gotuje się na  
 nowe zdanie: — Powieści, mówi  
 on, pochlebiają próżnowaniu, ża-  
 dnej nie przynoszą korzyści, świecą  
 a nic grzeją, słowem na nic się nie  
 zdały. — Nie śmiem tak ważnych  
 zbijać zarzutów; kto ten rodzaj pi-  
 sma potępia, niech go nie czyta,  
 to najlepszy sposób — Komu je-  
 dnak dotąd nic złego nie zrobiły,  
 może i Pana Walcrego przerzucić.  
 Nie kosztuje on mi wiele czasu, nie  
 życzę też sobie, aby kto chwile pra-  
 cy poświęcone, na jego czytanie  
 miał obrócić.

Lecz, co za los czeka moją po-  
 wieść! Tysiąc obrazów oczom się

moim nasuwa: półki w sklepach, papilloty na gotowalniach! Tam srożyć się zdaje na Pana Walerego otyły kupiec korzenny, gdzieś indziej surowo pogląda introligator, jakby z niego chciał kleić tekturki— Ale nie łapmy ryb przed niewodem, a zacznijmy opowiadanie.



---

## II.

### PLEBANIJA.

---

Kto tak mądry że zgaǳnie,  
Co nam jutro przypadnie?

KOCHANOWSKI.

— Poczekaj no Waść, poczekaj, rzekł do mnie jeden z moich znajomych, któremu zabierałem się czytać tę powieść odchrząknąwszy i splunąwszy— poczekaj, powiedz wprzód dy w jakim to rodzaju ta powieść?

— W moim własnym rodzaju, to jest według moich prawideł i urojcń, jeśli ci się podoba — napisana.

— To coś szczególnego, odpo-

wiedział słuchacz, krzycz tylko głośno, żebym nie zasnął.

Zachodziła bryczka w niską bramę plebanii, którą ledwie dostrzedz było można na boku dziedzińca, wśród krzaków gęstych bzu i leszczyny, podjechawszy kilka kroków dalej, ujrzał Pan Walery domek, nie wielki, na wpół w ziemię zapadły, pochylony wiekiem, na którego dachu zielenił się mech tu i ówdzie, chcąc niby starość jego oznaczyć — Przed tém schronieniem świątobliwości wysunięty był trochę na przód ganek, z dwóma, ceglą podpartemi, ławkami. Spojrzawszy na to miejsce, mimowolne westchnienie z ust wędrownika

się wyrwało, nie takiego się biédak dziedzictwa spodziewał — Cóż jednak robić? pomyślał sobie, nie my losem, los nami rządzi. W tej chwili pojazd stanął przed drzwiami, z których krokiem powolnym wyszedł Ks. Pleban. Obadwa sobie nieznajomi, choć się w życiu nigdy nie widzieli; iednak, z tego co o sobie słyszeli, poznali się do razu, i po kilku słowach bez związku, które dla kogoś trzeciego całaby były niezrozumiałe, weszli razem przez małe i źle przystające drzwiczki do pokoju, którego dwa okna nad samą podłogą umieszczone, złożone z szyb starością pomiatowanych i drzewami osłoniionych, nie wiele słonecznego przypuszczały

światła; tak, że w tym zakącie nie wiele dzień od nocy i wieczór od południa się różnił. Zdaje się tedy, iż bynajmniej z tego powodu Ks. Plebana obwiniać nie można, jeżeli się kładł spać o południu, lub wstawał ku wieczorowi.

Opuszczam tu uwagi nad ponurością miejsca, i uczuciami jakie wzbudzała; a zacznę od opisu pierwszej izby; bo lubię rzecz każdą szczególnie i ogólnie, ze wszystkich stron opatrzyć, jak się o tém czytelnik w dalszym ciągu przekona.

Podłoga więc tej pierwszej izby, ehwiejąca się i nadpsuta, pełna była dziur i szczelub, wkoło ścian spaczonych czepiało się stare, wyblakłe, niegdyś żółtego koloru obicie,

służące za schowanie na listy i tym podobne szpargaly. Niedaleko od drzwi wznosił się piec starożytny gotycką architekturą z niebiesko upstrzonych kafel, z wierzchu tylko nieco nadwerżony. Na ścianach wśród owego obicia poprzyklepane były listy Pasterskie i Bulle, upstrzone i zakurzone, tak, że się tylko zdawała *Loco Sigilli* pokazywało. Na stoliku przy jednym z okien, stał ogromny czarny kalamarz, wydający się zupełnie jak źródło wszystkiego złego, w którym wiecznie pęcniały trzy nieszczęśliwe pióra, obok leżał brewiarz bez okładek zaczynający się od środka, jeden tom Żywotów świętych strasznie pokaleczony, Agenda, Ewan-

gelije i stare jakieś Kazania — U drzwi na brudnym sznurku wisiął kalendarz z wystrzyżonym w okładkach blankietem, przez który rok z żalowaną miną wyglądał — Otóż i cała biblioteka przewielebnego, bo nie liczę dzieł ascetycznych, łacińskich, któremi stoły popodstawiano — Ksiądz Pleban powiadał, że się na nic więcej nie zdały. Po drugiej stronie drzwi stała szafka mieszcząca w sobie kredeus, szyby zastępowało obicie w kwiaty, przez którego otwory widział Walery, półmiski, talerze, butelki licznie jakby na konsylium zgromadzone, i ogromne szklenice i kielichy. Na najniższej a przeto prawie próżnej półce, spoczywał drzemiąc kotek,



stuliwszy łapki i uszy, okryty lśnią-  
cém futerkiem. Dwa wędniejące  
sérki z kminem dowodziły staran-  
ności gospodarza. Na lewo nako-  
niec były drzwi w pół otwarte do  
drugiego pokoju — Przychodząc  
wreszcie do głównego przedmiotu,  
powiedzieć muszę, że w samym  
środku pierwszej izby siedział Pan  
Walery i Ks. Pleban, mało mówiąc,  
lecz spozierając po sobie dość szcze-  
gólnie — Przewielebny się krzywił,  
podróżny nie wiedział w co zadać,  
jak to powiadają, słowem oba by-  
li w najprzykrzejszém położeniu.  
Rozmowa wlokła się jak najpowol-  
niej i przerywanie, i już tak dobry  
kwadrans wysiedzieli, gdy myśl  
szczęśliwa przyszła do świętej glo-

wy: zapytał, czyby Pan Walery nie chciał przyszłego swego obejrzyć mieszkania? — trudno było odmówić, poszli więc oba, i ja czytelnika po tym domu oprowadzę. Ze wspomnionych drzwi na lewo, weszli do małego pokoiku z alkową, w której stało łóżko pokryte, wypłowiałą i podartą atlasową kołdrą, nad niém wisiało kilka obrazków otoczonych zwiędłymi wiankami i ziołami, z boku było okno równie ciemne jak inne z wiszącą na jednej tylko zawiasie, przed laty zieloną okiennicą. Tuż blisko stała komodka, obok przejście do trzeciego pokoju się ukazywało, którego drzwi szklane w części zaklejone były kancyonalem na

współkę od myszy i plebana używanymi. Ztąd znowu wyjść było można do drugiej części domu, gdzie się znajdowała kuchnia i dwa pokoiki przeznaczone dla gościa — Były one ogołocone z najpotrzebniejszych nawet sprzętów, a zarzucone mnóstwem nieużytecznych gratów. W jednym postawiono naprędce kanapkę bez nogi i krzesło bez poręcza, w drugim stolik nieinogący ustać na nogach, małą ławeczkę kościelną i dla ozdoby obraz fundatora w pąsowym żupanie, z ogromnym czarnym wąsem. Przez małe okienko widok opuszczonego i zarosłego ogrodu się ukazywał, a przeczędzone krzaki dozwalały w oddaleniu korzystać z widoku

gościńca i oddalonego zachodu — Słońce już się było ukryło za czarną chmurą oczekującą go nad zachodem, blada tylko czerwoność i zarumienione w górze ulotne obłoczki okazywały miejsce, w którym zniknęło.

Każdy się domyśla, że mój Walerj jest trochę romansowy, a gdzie są tylko zapalone głowy, znajdują się zawsze ptaszki, otoż ledwie się bohater przysiadł na chwiejącej kanapie, z pobliskiego krzaku odezwały się z harmonijnym piskiem wróble, tak miłośnie, tak przyjemnie i narkotycznie, że go uśpiły.

—A to pięknie! przerwał mi znowu wśród czytania mój przyjaciel,

tylko cośmy go zobaczyli na scenie, już i śpi, to jakiś niedołęga! ale czytaj tylko dalej.

Długa podróż, zmartwienie i znudzenie przyczyniły się także do dobrego snu, z którego tylko wyrwały go jędrne i dobitne, samowładnie panującej gosposi, wyrażenia, i zwady z organistą bardzo potulnego charakteru. Jeszcze się była kolacja do połowy nie przyrządziła, gdy turkot zajeżdżającego pojazdu, obudził gościa, zmieszał Plebana, wytrącił rądel z rąk kucharki, a organistego rozśmieszył i rozweselił. Głos podróżnego mocno zastanowił Walerego — *to on!* zawołał z radością, i z wyciągni-

nemi rękoma pobiegł powitać przyjaciela, a po tysiącnych uściskach i radości zobopólnej wprowadził go do gospodarza, który poprawiając sutannę, wyglądał przez drzwiczki z miną zakłopotaną. Nastąpiły zwykle grzeczności i prośba o nocleg, której nie mógł odmówić na pozór uczynny, a w duszy bardzo zasmucony, z przerwania mu spokojności domowej Ksiądz Pleban. Nawykły do samotności, jakiej użycza stan duchowny, do tej gnusności nieczynnego życia, nieprzyzwyczajony do utrzymywania rozinowy i zachowania się bez nudy w towarzystwie dwóch, lepiej wychowanych osób, przewielebny uszedł korzystając

z żywej przyjaciół rozmowy, do zwykłej swojej kompanii — kucharki i organistego.

—Pocziwy mój Antoni! rzekł Walery, czyżem zasłużył na przyjaźń, którą tak dobitnie mi okazujesz?

— Przyjaźń nie patrzy na zasługi, ale na serce — odpowiedział przybyły, a wszystko co ci czynię jest dla mnie obowiązkiem.

—Nadto jesteś dobry; ja teraz wiele potrzebować będę od ciebie: pomocy w sądzie przeciw stryjowi, który zwłóczy oddanie mego majątku, pieniędzy nawet, bo ostatni weksel wracając z podróży mojej w Wiedniu rozmieniłem, i nakoniec, dodał ściskając go za rękę —

twego wstawienia się i znaczenia u adwokatów i sędziów, bo bez tego na sądnym dniu chyba, rozstrzygniętoby moją sprawę.

—A cóż sobie myśli ten Wagleer, że nie chce ci oddać należytości, przecież, ten majątek niezaprzeczenie do ciebie tylko samego należy, przecież on był tylko dotychczas jego rządcą, po śmierci twoich rodziców, przecież masz już oddawna prawo nim zarządzać.

—Przeklęty szachraj! odpowiedział Walery ruszając ramionami, ja nie wiem, co mu się w głowie ubzdrzyło, zwodzi mnie jak dziecko, zwleka, odsyła na koniec z mojej własnej majątności do tego księ-



dza, który jest jego bratem, zapewne dla tej przyczyny, żebym nie mógł nadto blisko śledzić jego czynności.

— Do czasu dzban wodę nosi, skończy się prędko jego panowanie; ale czy znasz ty dobrze stan swego majątku, żeby cię, oddając go, nie oszukał?

— Jakże mam znać, kiedy już lat cztery, jak w domu nie byłem, a w tym czasie moi rodzice umarli, i jemu tymczasowo oddali w rządy moje dziedzictwo!

— W piękne się też łapki dostało! rzekł z miną pożałowania Antoni, i nim drugi z odpowiedzią pośpieszył, otworzyły się drzwi z piśkiem, ukazał się gospodarz poły-

skujący od ognia, przy którym siedział, za nim organista ze świecą spoczywającą na lewym boku w przestronnym lichtarzu, i chłopiec w obdarłej kapocie na wyrost zrobionej, niosąc talerze cynowe, widelce i inne do wieczerzy przygotowania.

Podniesiono, od czasu dziekańskiej wizyty nietykaną, klapę stołu, nakryto obrus świąteczny — i dano jedzenie. Spodziewam się, że czytelnicy wymagać odemnie nie będą, opisu skromnej wieczerzy składającej się z kaszy ze szwedami i zrazów zawijanych, nie ciekawym jest także dla nikogo, apetyt gości i gospodarza, który przy podanej okoliczności nie zapomniał

o sobie i swoim żołądku, a co do dalszych szczegółów tyczących się historyi Pana Walerego, te łatwo było z rozmowy dwóch przyjaciół wyrozumieć.



---

### III.

#### I DÉSZCZ SIĘ CZASEM PRZYDA.

---

Półmisków niemam bogatych ;  
Sliw a kasztanów kosmatych ,  
Włożę przed osobę twoją ,  
A przy tém wszystkłą chęć moją ,  
Orzechy , jabłka , jagody ,  
I lipienie z bystrej wody ,  
Melen słodki , grono wina ,  
Leśne rydze i malina  
Gruszki , brzoskwinie , ogrodne ,  
Mléko świeże , piwo chłodne ,  
I co jedno wieś uboga rodzi ,  
Tém czić będę usta twoje.

AND. ZBYLITOWSKI. Poem. Wie-  
śniak 1600. \*)

Kto odbywał podróże małe czy  
wielkie , po ojczyźnie , lub za gra-  
nicą --- wie dobrze jakiej przyje-

---

\*) Obacz Tom UI , rozdział I.

mności się doznaje, jadąc w pogodę, z przyjacielem, i po miejscach zajmujących położeniem przyrodzoném, lub historyczném wspomnieniem. Nieme jakieś zadowolenie, radość wewnętrzną i spokojność duszę przejmuje. Jadąc bez celu spokojniej używamy przyrodzonych i licznie zgromadzonych piękności, które każdy kraj w swoim rodzaju posiada. Zachwycają wędrownika skały Szkocji, alpejskie góry i gaje Włoch i Francyi południowej, czemużby nasze pola, lasy wyniosłe i puszcze zająć nas nie mogły?

Zimny jesienny ranek obudził naszych przyjaciół i przypomniał potrzebę wyjazdu; nim tedy Ple-

ban, światobliwym zwyczajem śpiący do południa, miał się czas obudzić, lekki powóz Antoniego był na drodze do Lublina.

Tą razą piaszczyste okolice plebanii, nie wiele dostarczały piękności; w około drogi wznosiły się zasy piasku pokryte gdzieniegdzie krzakami czerniejącymi jałowcu, lub jeżyną, grunt kamienisty budził co chwila usypiającego woźnicę i tak jednostajnie, bcz żadnego wypadku dojechano do popasu. Karczemka nędzna, pełna wieśniaków i żydów nadto była ciasna, aby mogła w sobie dwóch podróżnych pomieścić, popasano tedy na dworze, gdyż piękny chociaż wietrzny dzień jesienny, dozwalał użyć tej

przyjemności — Za karcznią w niewielkiem oddaleniu był młyn ze psuty i mostek, pod którym woda z szumem przepływała, lekko tylko milczące opryskując koło — Po za stawem rosły stare wierzby, a w oddaleniu wśród olszyny i grabów bieleł się dom mieszkalny z zielonymi okiennicami i bramą olbrzymiej wielkości — Kilka sztuk bydła pasło się pod lasem, a w gaju powtarzało echo okrzyki pastuszków, przerywane jednostajnym uderzaniem młota w pobliskiej kuchni. Długi rząd fur ze zbożem ciągnął się drogą, wieśniacy spali na wozach lub popędzali głośno wychudłe konie, zamykał ten szereg ekonom rubaszny z miną, jaką

ta klasa ludzi, będąc bez świadków przybiera, rzekłbyś spojrzawszy na niego, że to jest pan połowy świata — Z jego ust wymykała się para czyli dym fajki, którą w ręku starannie piastował, ogromny kapszuk wisiał u guzika, a czapka na bakier włożona osłaniała mu głowę do połowy — Para tłustych koni zaprzężona była do tego tryumfalnego wozu, którym biegły faworyt ekonoma kicrował.

Już się zbliżało ku wieczorowi, nasi podróżni mieli jeszcze do noclegu parę godzin jazdy, kiedy chmura zachodnim pędzona wiatrem, wśród spokojnego się nieba ukazała, powstał deszcz ulewny, a



woźnica zaciął konie, żeby się co prędzej skryć gdzie przed ulewą.

Spuszczono firanki u kocz, przyspieszono kroku koni, ale w tym zapale — oś pękła. Pierwszém staraniem podróżnych było przekonać się, czy karków nie nadkręcili, potém dopiero obejrzano się, czy nie ma gdzie karczmy, a przekonawszy się o zupełnym niedostatku podobnego schronienia zaczęto myśleć nad odwiedzeniem porządnego domu, niedaleko od drogi stojącego, który okazywał dobry byt mieszkańców swoich — Otoczony był ładnym laskiem, ogrodzony foremnym płotem, pokryty dachówką i na wysokiém stał podmurowaniu. Gołębnik, stodoły, altana i wró-

żne kolory malowana studnia, składały wespół z ogródkiem okolicę domu, do którego nasi podróżni obwinięci płaszczami dążyli. Zgraja psów rozmaitego rodzaju powitała ich w sieniach, niezważając jednak na tę przeszkodę posunęli się dalej i już gotowali się na wymówki i grzeczności, gdy wszedłszy znaleźli, samą jedną, młodą, ładną i uprzejmą Panią Leśniczynę— Samego Pana nie było, wyjechał był do lasów na polowanie, ale wkrótce miał wrócić; spodziewano się także tego samego dnia, dziedzica włości tych, od którego Pan *Gwintówka*, były Leśniczy Królewski, dzierżawił ten folwarczek. Szczęściem nie powiedziano jego

nazwiska — Wśród miłej rozmowy z samą panią nieznacznie czas upływał, tak, że ani się spostrzeżono, jak odgłos: *hola! iest tam kto? weźcie konia!* rozległ się pod oknami.

— To mój mąż — rzekła sama pani, i wyszła go o przybyciu gości uprzedzić.

— Piękną zrobiliśmy znajomość, rzekł Antoni, poprawując przed lustrem chustkę i kamizelkę.

— Miła kobiéta, dodał Walery, wyglądając przez okno.

— I deszcz też czasem się przyda! zawołał pierwszy, jeśli tak miłe znajomości nastroczą.

— Masz słuszność, ale to rzadko

z jego łaski takich wesołych chwil użyć można, ale otóż i Pan Leśniczy Gwintówka — Ale....

— Witam, witam kochanych panów! rzekł wchodzący w tej chwili rumiany staruszek z wesołą twarzą, i jeżeli kiedy wolno się cieszyć z cudzego przypadku, to ja dziś rad jestem, bo mi ten miłą nastrocza znajomość. Dwaj moi podróżni zdobyli się także na komplementa i zasiedli do herbaty i kawy. Niczego nie szczędził gospodarz dla gości, cokolwiek ku potrzebie lub nawet wymyślnej służać mogło wygodzie.

Ciągle jednak niespokojnie oczekiwano dziedzica, który nare-

szenie nadjechał. W sieniach jeszcze dał się słyszeć z pompatycznym rozkazem; *a proszę tam nie zapomnieć o koniach*, i wszedł nareszcie do pokoju. Pan Walery cofnął się na jego widok i zmieszał, Antoni przybrał poważny ton statysty, a wszyscy zawołali razem, każdy innym głosem i z innej przyczyny — Pan Wagleer!

Jawnie się tu widzieć daje, że od pierwszego początku nieszczenie krok w krok czepia się mego bohatera. Stryj, od którego uciekał, aby się z nim prawować, stryj, który mu naznaczył mieszkanie u Plebana — stał przed nim. Nie długiego było potrzeba czasu, żeby zmie-

szanego tém zjawiskiem niespodzianém, otrzeźwić młodziana: uczucie własnej godności, niezależność od stryja i myśl, że mu ten praw stanowić i rozkazywać nie może, dodały mu śmiałości; a stryj bardziej może okazał się zmięszanym jak synowiec. Ponura fizjonomija Waglcera nabrała żywości, po kilka razy otwierał usta, i odważył się wkońcu zapytać co by tu Pan Walery porabiał.

— Przypadek mię tu sprowadził, odpowiedział z udaną obojętnością młodzieniec, oś w drodze mi pękła —

— A dokądże to Pan jedzie? dodał zmięszany staruszek.

— Do Lublina — mam tam sprawę, którąbym chciał zacząć, i mam honor oświadczyć, że wkrótce odbierzesz Pan pozw. —

— Dobrze, dobrze, wybęknął ze złośliwym uśmiechem opiekun, radbym tylko wiedzieć, o co zostanie pozwany.

— O zatrzymanie nieprawnie cudzej własności — rzekł dobitnie, na każdym słowie się zatrzymując Antoni, a śmiałością odpowiedzi zbity z drogi Wagleer, zamilkł. Wkrótce jednak podumawszy cokolwiek, obrócił się do synowca i drżącym głosem, którym jednak chciał śmiałego i spokojnego udawać, zapytał: czyby nie lepiej by-

ło przystąpić wprzód do wzajemnego wytłumaczenia.

— Najchętniej, rzekł Walery, ale przyznam się Panu, iż nie widzę żadnych przyczyn, któreby go upoważnić mogły do zatrzymania mego majątku?

— Więc to jest młody panicz ze Włoch przybyły, szepnął przysлуchujący się Pan Gwintówka do ucha Antoniemu.

— Tak jest, odpowiedział ten natychmiast.

— Młodość Pana, mówił dalej stryj z powagą, pozwala mi wybaczyć, iż jesteś tak krótko widzącym; utrzymywanie jego majątku narażało mię na liczne koszta, przy-



tém pieniądze Panu posyłane, i inne wydatki —

— A intraty? zawołał Antoni.

— Ciężkie czasy, rzekł Waglecr, niby go nie słysząc, wiele mi się bardzo od Pana należy, mój Panie synoweze, chciałem się wprzód skwitować.... a potem.... że.... bo to.... — Gwintówka kiwał ciągle głową, z tym wyrazem, jakby chciał powiedzieć: bajki, bajki, wykręty, psie figle, mospanie.

— Potém o tém, dodał nareszcie gospodarz, czas iść na wieczerzę. Tym się zakończył spór, a mój Pan Walcry, cokolwiek spokojniejszy i weselszy, ze wzrastającą nadzieją odzyskania Powijówki, zaczął ży-

wą o swych podróżach rozmowę z Panią Łowczyną — Niezawodnie znudziłbyna czytelnika opisując mu razem z opowiadającym, Karnawał w Wenecyi, salę dożów, powieść o Marino Falieri, o zaślubinach z morzem, o Rzymskich świątyniach, piramidzie *Caja cestia*, o Watykanie, o Wiedeńskim Praterze, Paryskim Palais-Royal, Luxembourg, o Londyńskim St James-Park, i tysiącnych innych osobliwościach, które niemal o każdy z nas obily się o uszy; wolę tedy opisać domek, w którym się znajdował mój Pan Walcry — Stał on jakem to już powiedział, przy lesie, z tyłu miał ogródek, z przodu dziedzińczyk. W sieni

wisiał harap, smycze, sfory, sieci, obroże, torby, trąbki i inne myśliwskie przybory, w kącie stało berło dla ptaka, który przekręciwszy główkę, siedział sobie na drugim końcu. W pierwszym pokoju stał porządnie suknem okryty stolik, na kominku widać było staroświecki zegar, naksztalt gotyckiej świątyni, koło niego zaś parę tuzinów figurek chińskich spoczywało. Nad kanapą wisały obrazy, Stanisława Augusta, Augusta III i Hrabiego Brühl; mały stoliczek w kącie będący, okryty był książkami, których że nie patrzałem, więc jakie były, powiedzieć nie umiem. Na oknach wazony z kwiatami, jawnie dowodziły, że gospo-

dyni je pielęgnuje, bo goździki, heliotropy, róże, hortensije i mirt pelny, były w najlepszym stanie— Z drugiej strony widać było pokój sypialny, do którego posuwać się nie śmiem, ażebym uśpionego gospodarstwa nie pobudził.

Na przeciwnej domu stronie, przy gasnącej świecy, pisał rachunki jakieś Wagleer; dwaj zaś młodzieńcy zasypiali po podróży. Piszący zdawał się natężyć wszystkie siły swego umysłu, iskrzyły mu się oczy, na czole wyteęzały się żyły, ręce drżały z pośpiechu, a ślepy tylko chyba nie dostrzegłby w rysach jego twarzy jawnych dowodów wewnętrznego poruszenia, niespokojności i rostargnienia.

O Lawaterze! ludzie pogardzili twoją nauką, lękali się umiejętności czytania charakterów z twarzy; bali się wyjawienia uczuć; które pokryć usiłują. Lecz bezstronne oko uzna zawsze prawdę twoich wniosków; ograniczone tylko unysły i niedołężni będą utrzymywać, że w rysach twarzy nie maluje się dusza. Pomimo całej sztuki, jakiej człowiek używa do pokrycia i zniszczenia zewnętrznych śladów, swoich uczuć—zawsze one odbijają się w jego oczach i twarzy.

Patrz na tego złoczyńcę, który wyrazem dobroci i życzliwości chce pokryć niegodziwe zamiary, w jego oczach błyszczy stłumiony ślad złości, usta jego uśmiechają się szyder-

sko, i mimo pracy, mimo usiłowań wyjdą na wierzch z pod zasłony o-błądy — czarne zamysły.

A w tychże niebieskich oczach kochanki, czyliż twoja dusza nie wyczyta niewinnych uczuć cnoty? czyli jej miłość przez oczy nieprze-mówi do twego serca?

Ta nieczuła piękność czyliż nie ma w rysach twarzy tego braku uczuć, i zimnej odrętwiałości, która ją bardziej każe czcić jak bóstwo, niż kochać jak człowieka.

— A to co? przerwał mi przyja-ciel, któremu to z zapalem odczytywałem, a to jaki ma związek z po-wieścią twoją?

— Żadnego, odpowiedziałem zimno. — Cóż to znaczy?

—Jestto zaczęty, szumnym stylem, panegiryk Lavatera.

—Boże odpuść, rzekł ruszając ramionami mój przyjaciel, ale to trochę niezgrabne.

—Nie przeczę, odpowiedziałem i zacząłem czytać co następuje.



---

## IV.

### JAK PRZYSZŁO, TAK POSZŁO.

---

Bije i niżnik panfila,  
Kiedy nie świeci.

KNIAZNIN.

—Więc tedy—

—Bez wątpienia—

—Jak prędko?

—W przyszłym tygodniu.

—To rzecz skończona—

—Zupełnie—

—Sługa Pański, Panie Synow-  
cze, jadę przygotować wszystko na  
twoje przyjęcie i mocno się cieszę,  
że się między nami bez prawowania  
obeszło.



—Bardzo mi rad temu, i niebawem będę w Powijówce.

—Proszę cię tylko, odpowiedział Wagleer niespokojne nań rzucając wejrzenie, nieśpieszyć się nazbyt z przybyciem, ażebym ja miał czas się zlamtąd wynieść.

—Najchętniej, kochany stryju, parę dni zabawić mogę u mego przyjaciela Antoniego.

—Do widzenia, dodał Wagleer kładąc płaszcz i zapalając fajkę u kominka.

—Upadam do nóg— odpowiedział Pan Walery wyprowadzając go z sieni— upadam do nóg.

---

Pelen pożerającej go niespokojności, przybył Wagleer do siebie, groźnym okiem powitał służących, groźniej jeszcze i zimno przyjął pieszczoty córki swej Zosi, i pobiegł zamknąć się sam na sam z jednym z powierników swoich.

—Pójdź tu, rzekł doniego przeczucując rozsypane po stole papiery, czy chcesz zarobić sporą sumkę za wierne usługi?— Młody człowiek uklonił się w milczeniu.— Słyszysz mię, dodał głośniejszym głosem, czy chcesz podrobić ten oblig?

—Postaram się, rzekł znowu chłopiec zacierając ręce i oglądając się w okolo.

—Odpowiedzże mi stanowczo!

krzyknął starzec zaczerwieniwszy się z niecierpliwości.

— Zrobię co Pan każesz, nieśmiało wybębnał młodzieniec, ale...

— Żadnych ale... jakie ale?... co za ale?...

— Nic Panie.

— Także mi mów! a teraz do roboty! oto masz, rzekł oddając mu paczkę papierów, śpiesz się—

— Ale....

— Co tam znowu? wrzasnął ze złością rzucając na ziemię papicry Wagleer i zbliżył się ze ściśnionymi pięściami do cofającego się chłopca — czego chcesz? powtórzył groźnie przystępując do niego.

— Chcę, odpowiedział nabierając śmiałości i podnosząc oczy ku

niemu, chcę być pewnym nagrody — wicie mi Pan dasz?

— A to co innego, przebaknął rozbrojony Wagleer, zostawszy z kolei obłączonym — bo to widzisz mój kochany, teraz ciężkie czasy! ja ci obiecuję — ja to uważam za rzecz skończoną.

— Ale cóż mi Pan dasz? rzekł słabą stroną spostrzegłszy, zuchwale nastając młody człowiek, co mi Pan dasz?

— Co ci dam.... co ci dam, dam ci tysiąc złotych.

— A na jakąż sumę ma być oblig?

— Na 500,000, rzekł nieśmiało Wagleer.

—Więc mi Pan od tej summy musisz dać piąty procent.

Starzec spojrział na niego z zadziwieniem, jakby uszom swoim nie wierzył i zcicha wyrzekł — Nie dam —

—To ja obligu nie podrobię.

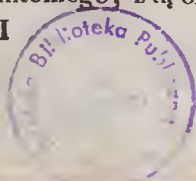
—Znajdę sobie drugiego, rzekł Waglcer udając, że go to mało obchodzi.

—A ja tymczasem, rzekł drugi ze złośliwym i prawdziwie piekielnym uśmiechem, znajdę w sądzie...

—Co ty pleciesz, drżącym głosem przerwał starzec, wcz papiery i rób, dam co zechcesz.

---

Gdy się to działo, Walery bawił u Antoniego, z tą obojętnością



i zaufaniem, jakie młodym tylko bywa właściwe — Niedoświadczenie i wyobraźnia pełna stworzonych przez się samą obrazów, których doświadczenie własne nie zmieniło, świat cały przeistacza w republikę Platona. Ale kiedy z wiekiem pozna się ludzi i ich charakter, kiedy w życiu towarzyskiem nie raz nas własne serce zawiedzie, kiedy smutek i boleść odwiedzają nas kilkakrotnie, innym świat w oczach nam staje. Szczęśliwy, kto mimo przykrości i zawodów, mimo krzywd od ludzi wycierpianych, umie zawsze zachować umysł stały, i zgadza się, że nie cały świat złym został.

— *Oj* moraly przekłete! prze-

rwał mi mój przyjaciel, czy ci już *konceptu* nie stało, że się niemi łatasz.

— *Oj* kiedy bo widzisz mój bracie, niema co już pisać w tym rozdziale.

— To go kończ.

— A kiedy bardzo krótki?

— Co to szkodzi.



---

## V.

### PRZYJAZD I WYJAZD.

---

Komu w drogę, temu czas.

PRECYOZA.

Ach! jakże przyjemnie było serce Panu Waleremu, kiedy zdaleka zobaczył Powijówkę, bieleł się zdala dom otoczony ogrodem. Mały kościółek, rzeczulkę i altanę widać było zdaleka. Każde miejsce napa-  
wało go tém słodkiém wspomnie-  
niem, które się najmocniej i naj-  
łatwiej do lat młodości przywią-  
zuje. Żadne chwile w życiu, tak  
długo nie zostaną nam w pamięci,



jak wiosna jego i otaczający ją urok.  
 Zdajemy się całkiem żyć w prze-  
 szłości, a każda przyjemność sto-  
 kroć miłsza kiedy wspomniana, jak  
 kiedy jej rzeczywiście doznawamy.  
 Czas oczyszcza ją, że tak powiem,  
 ze wszystkich ziemskich przywar,  
 staje ona w naszej pamięci w nowe  
 własnego utworu przybrana ozdo-  
 by i wśród trosk nawet słodzi nie  
 jedną chwilę, bez niej częstokroć  
 trudną do zniesienia. Najnieszczę-  
 śliwszym jest człowiek miłych po-  
 zbawiony wspomnień, serce jego  
 i namiętności ciągle do terażniej-  
 szości rzeczywistej przywiązane,  
 dręczą go i przenikają nadto ży-  
 wemi uczuciami; przeszłość prze-  
 ciwnie, nie odurza nas, nie nęka,

nie zginamy się pod jej przyjemną władzą, ona czule tylko zajmuje i daje czuć czystą i godną duszy człowieka rokosz.

Wszystkie przedmioty, jakkolwiek drobne i mało znaczące, w wyobraźni Pana Walerego łączyły się zaraz z przeszłemi wypadkami; krzyż schylony i mchem okryty stojący nad drogą, płaski kamień leżący na brzegu lasu, ścieżka udeptana po łące, kładka na rzeczułce, zajmowały go kolejno.

Ukazał się wkońcu dom cały z podwórzem i ogrodem, podobny do zrabowanego — tak go dobrze ogłosił z potrzebnych rzeczy stryjaszek. Widać było jeszcze ślady ciężkich i ładownych wozów i osta-

tki powywożonych sprzętów, a jesienna smutna pora dodawała posępności temu obrazowi. Przy wejściu spotkał ich Wagleer — oczy jego były w dół spuszczone, minę miał zaambarasowaną, tarł ręce i wprowadzał, wprzód baczniem okiem rzucając po kątach, dziedzica do jego domu. Zdziwił się Wallery widząc z ozdób i potrzeb nawet obrane pokoje, proste i niezgrabne meble zastąpiły wytworne stoły, kanapy i zwierciadła; ale był już u siebie, odzyskał kącik, który jedynie miał z całego świata, widział się w miejscu, gdzie żyli jego rodzice, gdzie się urodził, gdzie uczuł pierwszy raz boleść i rozkosz — i mógłże zważać na to?

— Cóż to mi mówisz, chceszże mnie jak dziecko oszukać?

— Ja mój panie, odpowiedział na to zmięszany młodzieniec, ja nie jestem oszukańcem.

— Ale ja o tém zapisie i obligu nie slyszalem.

— To nie moja wina.

— Zdaje się być ważny, rzekł sam do siebie Walery, obracając go w rękę, chociaż—

— Co pan chcesz mówić, przerywał szybko przelękniony ukaziciel obligu—

— Chcę mówić, odpowiedział zimno tenże, iż wcale nie rozumiem, z jakiejby przyczyny dług tak ważny, tak wielki, tak długo był tajony, czemu o niém Pan Wagleer

nie wiedział, lub czemu wiedząc,  
nie nie mówił?

—To do mnie nie należy, czekam tylko od pana odpowiedzi, kiedy się mam uiszczenia tego długu spodziewać.

—To być nie może, przebąknął znowu zeicha Walery sam do siebie niezważając na mówiącego, dług tak wielki?

—Ja pana pytam, jak prędko odbiorę co mi należy.

—Nie wiem prawdziwie, rzekł młody dziedzic, wpatrując się ciągle w oblig — musim się prawować—

—Prawować—podchwycił przybyły, nieradziłbym panu, nie wiem co pan zarzucisz temu pismu; bo

niewiadomość interesów własnych nie jest wymówką, dodał zeicha cofając się o kilka kroków, zresztą radziłbym panu poszukać, czy nie ma wzmianki w papierach pozostałych.

— Podyktujże mi, z łaski swojej, datę, ilość i podpis.

— Najchętniej:— Rokn 1803— dnia 15 Maja— oblig na 500,000 złt. pol. bez procentów— podpisany ojciec pański Czesław.... i świadkowie, pan Wagleer....

— Więc Pan Wagleer był świadkiem i nie mi nie mówił! krzyknął rzucając pióro Walery, obracając się do młodzieńca spokojnie czytającego, w té n się coś kryje.... piekielna jakaś intryga!

— Dyktuję dalej, mówił przyby-

ły — świadkiem drugim podpisany  
Ks. Pleban z Mirowicz.

— Dosyć, dosyć, rzekł porywając się z krzesła zniecierpliwiony młodzieniec, żegnam pana muszę się udać do moich papierów.

— Do widzenia, odpowiedział pierwszy, chowając oblig, wkrótce będę miał honor zobaczyć go znowu.

Zaledwie drzwi zamknęły się za wychodzącym, strapiony Walery porwał się z krzesła, bledniał, czerwieniał i żywym chodził krokiem, tłumem nasuwały mu się myśli, widział już całą przestrzeń świata otrętwiałą dla siebie, widział się przymuszonym do twardej pracy, do ulegania cudzym wymysłom, i

do tego smutnego stanu zależności, który życie obrzydzić może — Ale promyk nadziei zajaśniał w jego głowie, rzucił się do kantorka, dobył papiery i zaczął je przeglądać. Pierwsza paczka zawierała jedynie same inwentarze, tę odrzucił na bok; druga rejestra, i ta poszła nieczytana, nareszcie kilka paczków samych listów wzbudziło jego ciekawość, rzucił się na nie z ciekawością i zgłodniałą nicjako żądzą.

Mijały w tém zatrudnieniu niepostrzeżone godziny, a młodzieniec jakby przykuty, rospatrywał ciągle te szpargaly z moeném zajęciem, czasem tylko długi knot u świecy, lub zegara bicie przerwały na chwi-



lę uwagę, ale wkrótce wracał nowo do milego zatrudnienia.

O pierwszej prawie po północy nagle zerwał się z krzesła, rzucił papiery opodal, uderzył się w czoło i westchnął, jakby chciał powiedzieć: „już po wszystkiém!„ Raz jeszcze potem spojrzął na ten urywek listu i przebiegł oczyma co następuje :

„Małe długi łącząc się z procentami, jakie od nich płacić trzeba stanowią w pewnym czasie summy niepodobne do opłacenia. Radzę ci zatem zaspokoić Pana Truszkę, któremu już i tak winieneś dosyć, Panie Bracie; mówił mi on, że zechce wkrótce, ażebyś wszystkie kwity na jeden *summatim* oblig

*zredukował* — Jużś mu winien do czterekroć, a z czasem i do pięciu dojedziesz.,,

Podpisany był Waglcer na tym urywku, i nie mogło być lepszego i piękniejszego dla przeciwnej strony dowodu, jak ten list; w kilkunawet regestrach znalazł wzmiankę o tym długu, i siadłszy Pan Walery do stolika zaczął rachunki. Z boleścią serca ujrzał po odtrąceniu długów, ledwo do stu tysięcy *zredukowany* majątek: — Tak! pomyślał sam w sobie, muszę ustąpić bez szemrania, z kawałka ziemi, który już przestał być moim.

---

Pierwszego dnia po wyjeździe młodego dziedzica z Powijówki, dążącego do Warszawy zaciągnąć się do wojska, bryka którą jechał stanęła na noc w karczmie nad samym lasu brzegiem. Wysiadł z niej Walery i wszedł do pierwszej izby. Na kominie spory palił się ogień, kobieta nie zbyt przyjemnej postaci siedziała na ławie kołysząc nogą dziecię będące w kołysce, zawieszanej na sznurze u banta. Gospodarz, jak łatwo poznać było można, wysłużony żołnierz; rąbał drwa tnąc przy drzwiach, służąca niepozornej postaci obierała na drugim końcu ławy kartofle, a spory chłopiec drzemał za stołem.

—Antku! zawołał gospodarz spo-

strzegając podróżnego, zaświeć ję-  
gomości świecę do alkierza. Jesze-  
raz ciekawém okiem rzucił Pau Wa-  
lery po tej izbie, gospodyni od  
stóp do głów go oglądała, gospo-  
darz obojętnie przyłożył drewko na  
komin, a Antek przecierając oczy  
wyniósł świeczkę, zapalił ją u ognia  
i zaniósł do alkierza, dokąd poszedł  
i nasz podróżny i siadł za czystym  
i świeżo zmytym stołem. Nie da-  
leko od niego stało łóżko okryte  
pierzyną, nad nim wisiały zadymio-  
ne obrazki i krzyżyk, dalej zaś nie-  
co, mundur, czapka, zardzewiały  
pałasz, krucica i kilka wianków od  
Świętego Ciała, na pobielonej zaś de-  
sce u sufitu był wykopcony krzyż  
dla odpędzenia złych duchów.

Oczekując skromnej wieszery siedział nasz podróżny nad stołem, a korzystając z ciepła i spokojności przerywanej tylko uderzaniem siekiery, drzemał lub się przebudzał. Po chwili ustał odgłos rąbania i gospodarz z niskim ukłonem, niby dla zobaczenia czy wszystko jest w porządku, wszedł do izby. Z początku jednogłoskowa, później coraz żywsza zawiązała się między niemi rozmowa. Niestety jest towarzyskiem, ono częstokroć nie zważa, komu się wynurza; potrzeba przelania swojego smutku i podzielenia go z kimkolwiek, zacierając różnicę stanów, i Pan Walery mimowolnie prawie opowiedział swoje nieszczęścia gospodarzowi.

Ale jakże się zdumiał, gdy ten nabierając powagi, odchrząknawszy zaczął te słowa mówić stentoryjskim głosem.

—Mnie mój panie, cierpliwie biędę znosić nauczyły przeciwności, ten mundur, którym okryty, narażałem się na tysiączne niebezpieczeństwa, widział nieszczęścia których doznałem, był świadkiem, żem je cierpliwie znosił. Służyłem ojczyźnie bez nagrody, i w tém nie skarżę się na losy, bom jej powinien był bronić, byłem sławny, dziś jestem zapomniany, ale i w tém nie ma nic przykrego, wolę spokojne zapomnienie, niżeli burzliwą pamięć.... Jestem... — Tu szelest przerwał mu mowę, Pan Walery

się obudził i senne ustało marzenie.

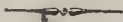
— Alboż to był sen? zapytał znowu mój przyjaciel przerywając mi czytanie.

— Tak jest.

— To czemuż wprzód tego nie powiedziałeś?

— Bom chciał utrzymywać w zawieszeniu... ale potem o tém, kończę zaraz ten rozdział.

Wszystko było tak jak wprzód, odzywała się ponura narodowa piosnka nad kołyską, w której przyszłe matki spoczywały nadzieje, gospodarz drwa rąbał, a Antosiek ponurym głosem rozmawiał ze służącą.



---

## VI.

### ROK CAŁY.

---

Mówisz, że ludzie w zamiarach niestali,  
I że za łatwo rządzić sobą dadzą,  
Ze lubią zostać pod kobięcą władzą?  
—Wszak i Herkules zgnuśniał przy Omfali!

DWAY BRACIA, Kom. 1830.

Pomimo całej płci naszej zalety,  
My— rządźmy światem, a nami— kobiety.

KRASICKI.

W kilka dni po zdarzeniu tylko  
co opisaném, Walery bawił już u  
przyjaciela Antoniego. Prośby je-  
go i siostry zniewoliły go do zosta-  
nia, na rok cały.

—Odwleczone twój zamiar, mówił  
do niego Antoni, będzie czas jeszcze



służyć w wojsku, uważaj się tu jak w domu.

— Zostań Pan, mówiła piękna Julja, a Pan Walery mimowolnie się rumienił, będziemy się starali osłodzić mu pobyt w tém miejscu.

— Mój bohater nie w ciemę był bity, i doskonale znał Zoroastra naukę, który każe nie tylko ludziom, ale nawet drzewom i kamieniom dogadzać; jakże tedy miał odmówić prośbie Pana Antoniego, a tém bardziej — Panny Julii?

Nazwałbym go głupiusieńkim, gdyby był ich rad i prośb nie słuchał, ale i na moje i na jego szczęście, a na pożytek czytelników, uległ, prawie nie się nie spierając — i w tém, mojem zdaniem, dobrze

zrobił. Miejsc było piękne, gospodarz uprzejmy, sąsiedzi mili, i czegoż było więcej potrzeba do przyjemnego pobytu w tém ustroju, które wdzięki Julii przyjemniejszém jeszcze czyniły. Nie wiem, czy umyślnie, czy przypadkiem, czy z nadprzyrodzonych jakich przyczyn mój Walery rozkochał się śmiertelnie w siostrze przyjaciela, a że ta okoliczność bardzo czas popędza, upływał on jak najprędzej i najmilej. Wkrótce przybyły, stał się zupełnie domowym; stary Kapitan, Stryjenka, Ksiądz Pleban, Pan Antoni, Julja i stary Komisarz Pan Rubryka, spoufalili się z nim zupełnie i polubili go wszyscy; z każdym albowiem, szczęśli-

wém swego charakteru ułożeniem, umiał się zgadzać. Z Kapitanem rozmawiać musiał o dawnych dziejach, i słuchać pochwał rycerzy dawno w grobie i niepamięci pogrzebanych, lub piękności, które od tego czasu straciły powaby, a nabrały marszczków. Trzeba było widzieć, z jakim zapalem udawał stary żołnierz odgłos armat, szczęk broni i muzykę wojskową. Stryjenka ze zwykłą sobie powolnością robiąc pończoszkę, opowiadała mu dzieje swojej młodości, świetne czasy czteroletniego sejmu, opisywała ubiory kobiet, laskawość Króla, który ją był w rękę pocałował, nakoniec konkury Kasztelanica Płockiego, a z tego łatwo pzzechodzi-

ła do wyliczania aptecznych sekretów i sposobów robienia konfitur. Ksiądz Proboszcz lubił z Walerym grać w warcaby, ożywiając stygnącą grę jakim strzelistym uczuciem wyłaniem, lub skargą na złe czasy, w których księża coraz mniej władzy mają. Rozczulał on się opowiadając o Jezuitach, o świętej Inkwizycji, o stosach na heretyków, i użalał się, że palenie niedowiarów wyszło już z mody.

— Mój Boże! mówił on często wzdychając, lepsze to były czasy, kiedy Jezuita tron Polski podtrzymywali, a Królowa sama upartego heretyka spalić kazala. Dziś ledwie gdzie klątwkę rzucić można, a i to coraz trudniej!— Kończąc te i tym

podobne wykrzyki częstokroć przed skończeniem partii usypiał, a Wallery się oddalał. Pan Antoni często także zabawiał się ze swoim gościem, razem polowali, jeździli konno, oglądali szczegóły gospodarskie, z nim często stawał na przcsmyku wśród zimnego jesiennego wiatru, lub rześistego deszczu, dla jego przyjaźni parę razy mało z konia nie zleciał, raz w browarze tylko co się w braźe nie skompał, a to wszystko byle ludziom dogodzić — tak każą prawidła Zoroastra. Umiął on także przypodobać się Panu Komissarzowi Rubryce, który częstokroć szerokimi słowy mu opowiadał, swoje wypadki z czasów rewolucii: jak się przedkoza-

kami 'pod gałęzią klonu ukrywał, jak uciekając, podobny do Gierarda Tassoniego, wpadł w błoto po uszy, jak się kochał w pannie Klarze, jak los odebrał mu kochankę, a kozacy dali batogami, jak z wici-  
nami pływał do Gdańska i t. d. i t. d. Wszystkiego tego cierpliwie słuchał Pan Walery; czasem też dla ożywienia rozmowy nucił dawne piosenki przygrywając na skrzypcach Pan Rubryka, i udawał tańczącego poloneza, chodząc po swoim pokoju. Lecz nad wszystkie wymienione osoby, miłsza była gościowi Panna Julja. Z nią w pięknej roku porze chodził na odlegle przechadzki, a w jesieni, kiedy jednostajne mgły i chmury zasuly

niebo, kiedy liście z drzew spadały, siadywał przy kominku.

Z przyjemnością błdził po lasach Pan Walery, a jak to prawie zawsze się zdarza, kiedy umysł niczem ważniejszem nie był zajęty, wpatrywał się dumając w czerwieniejące listki osiny, żółkłą topolę lub brzozę i posepnie zieloną jodłę. Przyrodzenie albowiem mało tych zwykło zajmować, których życie jest nieprzerwanem pasmem zdarzeń, silnie na umysł działających i porywających z sobą wszystkie władze człowieka; ono tym tylko skarby swe i piękności odkrywa, którzy w nim szukają pociechy i oddać mu się mogą. Dusze do ziemi przykute najmniej ziemskich

przyrodzenia powabów kosztują ,  
gdy tymczasem mała liczba ludzi  
żyjących w przyszłości i umieją-  
cych czuć przyjemności umysłowe,  
napawa się wdziękiem natury, jako  
godnym zastanowienia człowieka.





---

## VII.

ROK 1724.

---

I już ksiądz związał ręce nowej pary,  
Goreją gmachy światły rozlicznemi,  
Gną stoły srebra i polraw ciężary.

NIEMCEWICZ.

Jednego z zimowych wieczorów, które na czytaniu zwykle przepędzano, Pan Walery wyszperawszy w bibliotece jakiś zbutwiały foljał, wnosił, ażeby można było przeczytać jeden przez niego wybrany kawałek.

— Czyś oszalał? zawołał Antoni, czy nie masz nowych książek, żeby stare z kątów wywlekać.

— Daj Pan temu pokój, rzekła Julja, chyba nas Pan chcesz ponysypiać.

— Przepraszam, zawolał Pleban i Stryjenka, stare księgi są bardzo szacowne.

— Czy nie opis jakiej bitwy, zechciał dodał Kapitan sam do siebie siedząc u kominka, jeżeli tak — to słucham.

— Nie, odpowiedział Walery, jest to opisanie wesela.

— Któżby się tego w starej książce spodziewał! rzekła Julja.

— Ja myślałem, dodał Antoni, że to może co o Czechu i Lechu!!

— Zaczynam tedy, przerwał Walery nieco podniesionym głosem, jest to: *Opis wesela Zofii Sieniaw-*

*skiej, Kasztelanki Krakowskiej, z Denhoffem Wojewodą Połockim, Hetm. W. Ks. L. odbytego we Lwowie, roku 1724. \*)*

„Od kilku tygodni przed naznaczonym na obrzęd weselny dniem, czyniono w Zamku Lwowskim liczne do niego przygotowania, a 28 Lipca nadjechała Pani Krakowska z córką z Lublina, wstąpiwszy wprzód do męża swego bawiącego w Szklowie, i używającego tam wód, ku poratowaniu zdrowia. Udała się naprzód do pałacu swego na przedmieściu Halickim będącego,

---

\*) Ob. Krótka Annotacja Sejmów Warszaw. i Grodzień. także Elekcii i Koronacji — Baltazara na Pułaziu Pułaskiego. 1740. fol. arkusz Bb2.

gdzie przybył zaraz z odwiedzinami Wojewoda Podlaski H. P. K. od tygodnia już tam bawiący, z Księciem Starostą Spiskim. Po południu udała się do Zamku z córką i Księciem, aby nowe względem przygotowań wydać rozkazy. Po wtórnie baczna Pani Krakowska na-  
 zajutrz równo ze świtem zanieść się  
 kazała w lektyce do Zamku, gdzie  
 do dziewiątej rannej bawiła, i mnóstwo  
 ludu chcącego się przygotowa-  
 nym wspaniałościom przypa-  
 trzyć, puszczać kazała. Godziną  
 przed przybyciem Pana młodego  
 dano znać, iż na południe stanie  
 we Lwowie, a zebrani wojskowi i  
 urzędnicy na milę blisko spotkać  
 go wyjechali, i w poczcie 500 koni

odprowadzili aż do pałacu, gdzie został na obiedzie, a po nim do mieszkania swego w domu Łosiów się udał. Nadjechali dnia tegoż w licznym poczcie karet i dworzan Potocki Marszałek Trybunału z Deputatami, Kasztelanem Podlaskim, i Starostą Halickim, także Pan Krakowski incognito ze Szklowa powrócił i w pałacu nocował. Przybył pięknie umundurowany Regiment piechoty pod dowództwem Ellerta z Chorągwią, Grenadjerami i muzyką, na straż do zamku, za nim Dragoni pod dowództwem Krupńskiego, pięknie ubrani, ze Sztandarem, kotłami i bębnami, ustawili się w przeciwnej stronie pierwszemu, przeciwko zamku. Nazajutrz

(3o Lipca) Państwo Krakowskie z nowożeńcami do palacu się przecieśli, gdzie od ninóstwa zewsząd przybywających osób odbierali wizyty.

„Ale czas choć znaczniejsze w mieście uczynione przygotowania wymienić. Dwie bramy tryumfalne wzniesione były z dwóch stron zamku: pierwsza na 50 łokci wysoka wystawiała geniusze miłości i pokoju z różeczek oliwnych, wśród których Król August II wjeżdżał. Łaciński napis sześćcio-wierszowy, przeznaczony był na pochwałę spokojnego Króla. Druga brama równa pierwszej wysokością, zupełnie jej była podobna w ozdobach, z tą różnicą, iż na drugiej stronie her-

by Sieniawskich się ukazywały. Tuż będącą kancelarję Grodzką, zamieniono w portyk okryty napisami stosownemi do okoliczności. Od niego zaś z boku przy officynach ciągnął się umyślnie sporządzony amfiteatr dla gości, aby z niego sztuczne ognie oglądać mogli, był zaś wyższy o sześć łokci nad mury miejskie, a ciągnął się aż do galeryi przed zamkiem będącej. Malowane na płótnie słupy i arkady go zdobiły, ganek zaś wybito ze wewnątrz pąsowym suknem, a z drugiej strony Zamku ustawiono kolumny ze stosownemi napisami i malowaniem, przeplatając je umyślnie sadzonymi drzewami, wszystkie oraz galerje i amfiteatr gęsto

poprzybijanymi świeciły się lampami. Dragoni, Grenadjerowie i piechota zajmowała miejsca na wschodach i dziedzińcu, czyniąc wartę w około zamku. O trzeciej z południa licznie we wspaniałych powozach zjeżdżać się zaczęli goście, a Wojcwoda Połocki z mnóstwem dworzan, wojskowych i pacholków, o szóstej dopiero wyjechał z pałacu, aby się udać do zamku. Zaledwie początek tego pochodu stanął w miejskiej bramie, na wieży Ratusza, ozdobionej Chorągiewkami i Proporcami, ozwały się trąby i kołły. Postępowało dwa tysiące koni wśród miasta i zajeżdżało na zamek wśród wrzawy muzyki, a za nimi kończyli wjazd



przedniejsi Senatorowie, Wojewodowie i Hetmani. Pan młody siedział na przepysznym siwym Tureckim koniu, na którym siedzenie, cenione do tysiąca czerwonych złotych, od złota i drogich kamieni połyskiwało; ubrany był w litą, bogatą delją. Po bokach miał trzydziestu sześciu szlachty pokojowej w pąsowych ze srebrem kmituszach i żupanach atlasowych błękitnych, a koło konia jechało dwunastu pagików z turecka w aksamitną od złota i srebra barwę przybranych. Pani Krakowska powitała z galeryi Pana młodego, a armaty pierwszy raz słyszeć się dały; czekali na pokojach zebrani goście, od których powitany, pozdrowiłszy ich wza-

jemnie, został Pan młody. Że się w owych czasach nie bez długich mów i próżnej deklamacji obejść nie mogło, zaczęli, Wojewoda Krakowski i Ruski długie oracje, które z powszechną radością w przeciągu dwóch godzin się skończyły. Przeczuwały głodne żołądki, że uczta była blisko, jakoż, za ledwie Wojewoda Ruski ostatnie *dixi* wyrzekł, odczwala się muzyka i goście ruszyli do górnej sali. Najprzedniejszy stół zastawiony był w kształcie ogrodu w kwatery z cytryn i pomarańcz, do tego usiedli nowożeńcy z Arcybiskupem Lwowskim, Nominatem Chelmskim, Ks. Krakowskim i Wojewodą Ruskim. Zapominał nasz pisarz o stroju Pau-

ny młodej, ale z kąd inąd dowiaduję się, że zwyczajem tych czasów okrywała ją suknia modra złotem przetykana i obszywana sznurami perel i szmaragdów, drogie noszenie z dyamentów i innych drogich kamieni polyskiwało na szyi, u rąk złote miała forboty czyli koronki, na głowie małą u ślubu zażywana koronę w liście mirtowe kształtnie zrobioną i również mnóstwem kamieni ozdobną. Pod nią stary nadziadów naszych zwyczaj umieścić godła dostatku: chleb, sól i piędz, które od niepamiętnych czasów zawsze pannom młodym pod wieniec lub koronę kładziono. Oświecono mnóstwem lamp i pochodni miasto, tłumy ludu otaczały zamek,

rozlegały się gęste z ręcznej broni i armat wystrzały, obchodziły po zastawionych w całym zamku stołach wychyłane zdrowia, które z dolnych pokojów, dla słabości nieprzytomny, Kasztelan wnosił, a na górze spełniano. Nie brakło na muzyce, którą jednak zagłuszały wystrzały i tumult przytomnych, ustawiono bowiem dla niej umyślnie, po nad bogatym kredensem, trzypiętrową galerję. Na pierwsze danie ozwała się dobrana muzyka Wojewody Połockiego, na drugie Hetmańska, na trzecie włoska z wybornemi śpiewakami, którzy wiersze godowe w językach, włoskim, łacińskim i polskim odśpiewywali. Za ledwie ruszono od stołu za da-

nym znakiem zapalono sztuczne ognie, wystawujące herby państwa młodych i rozliczne inne przedmioty, trwało to do dwóch godzin, po czém nastąpiły tańce do dnia białego przy włoskiej muzyce, a goście poróżjeżdżali się nakoniec do mieszkań swoich.

„Dnia 31 Lipca o godzinie szóstej z wieczora, zjechali się dopiero goście do zamku, dokąd Pan młody, z podobną jak dnia poprzedzającego wspaniałością, przybył na gniadym Tureckim koniu. Uczta podobnie trwała jak wprzód, stoły przepysznie zastawiono, ukazały się fajerwerki, a tańce polskie zakończyły dzień drugi. Nazajutrz cheieli zgromadzeni goście ofiaro-

wać państwu młodym podarunki,  
 lecz delikatnie tego odmówiono.  
 Dnia 3 Sierpnia Wojewoda Połocki  
 wydawał ucztę w zamku; oświeco-  
 no nanowo całe miasto, pous-  
 wiano słupy z licznemi wizerunka-  
 mi i napisami; ganki, amfiteatr,  
 okna, słupy, ratusz i poczta okry-  
 te były milionami gęsto pozasta-  
 wianych świateł i obrazami z la-  
 cińskimi godłami. Nadjechała  
 z palacu Kasztelanowa w karęcie  
 sześciu końmi ciągnionej, ubrane-  
 mi w aksamitne ze złotą frendzlą  
 pasowe szory; kolo powozu szło  
 z pochodniami sześciu lokajów i  
 dwóch paziów w sutej liberyi, z bia-  
 lemi piórami na kapeluszach, tak-  
 że dwu pacholków od stóp do głów

srebrnem okrytych. Odzywała się  
 muzyka i wystrzały, a lud zalegał  
 ulice i dachy nawet, taka jego  
 mnogość była. Znalezione już prze-  
 pysznie zastawione stoły potrawa-  
 mi i różno-farbnemi cukrami; pier-  
 wszy od wejścia w kształt miesiąca,  
 drugi nieco bliżej okien. Na tym  
 ostatnim wyrobiona była gwiazda,  
 której górny promień utrzymywał  
 Genjusz z herbem Kasztelana Kra-  
 kowskiego, a inne pomiędzy zasta-  
 wione złociste półmiski rozchodzi-  
 ły się. W innej sali był stół trzeci  
 w kształt herbu Śreniawy, do któ-  
 rego nim usiedli Ojcowie Jezuiti,  
 oddali Panegiryk w szumnych za-  
 warty wyrazach, napisany przez  
 Mowcę Zgromadzenia (Orator Col-

legii) na pochwałę nowożeńców i zaenych gości. Brakło tylko do solennego obchodu dysputy, jakoż i tę O. O. Jezuici wyprawili, wyprawdzając w szranki wymowy fanatycznej, Nominata Chelmskiego i Ks. Kupińskiego Członka Kapituły. Nastąpiły liczne zdrowia, i wino rynnami lać zaczęto dla pospółstwa — „Co tu za konkurs, powiada Pułaski, różnego ludu z wiadrami, konwijami, czapkami i kapeluszami, cisnął się, wypisać trudno — Rozdano także kilka beczek żolnierzom, a okrzyki radośne, poprzedziły wspaniałe ognie sztuczne, po których, gdy splonęły kolumny, herby w powietrzu pozawieszane i godła, dano ognia z ar-



mat i wszyscy odjechali do siebie." \*)

— Śliczne! przedziwne! zawołał Pleban, przecierając oczy, gdy Pan Walery czytać dokończył.

— Podobne bardzo do uczt za nieboszczyka Króla, dodała stryjanka.

— A cóż! i nie przyszło do bitwy? wrzasnął przebudzony Kapitan, a śmiechy rozległy się po pokoju.

---

\*) Ob. Notę na końcu tego tomu.

---

---

## VIII.

### WAŻNE ODKRYCIE W BREWVIARZU.

---

Często tu prawda czynią, jakby mię kochali,  
Nieraz łagodnym słówkiem serce obłąkali,  
Ale to nie jest miłość. . . .

BRODZINSKI.

O przyjaźni! miłości! niema was na świecie,  
Wy łube sny mej duszy, nazawsze nikuńcie.

FELISKI. Barbara.

— Bądź zdrów Panie Antoni, po-  
byt w twoim domu będzie mi pa-  
miętnym na zawsze — Upadam do  
nóg Pani — Żegnam cię księżo Ple-  
banie — Pamiętaj o przyjacielu,  
kochany Kapitanie — Nie zapomi-  
naj o mnie Panie Rubryka — mó-

wił, wybierając się do stolicy, Pan Walery, i pełen smutnych myśli kłaniał się jeszcze z daleka żegnającym go osobom. — Pośpieszaj! wołał na furmana, ażeby się co prędzej wyrwał z miejsc, które go tak silnie do siebie przywiązywały — Wyraz *pośpieszaj*, podbudził woźnicę, ruszył tedy, i na szerokiej drodze zawadził o ogromną brykę płótnem okrytą, tak, że oba powozy po kilku poruszeniach wywróciły się. Pierwsze słowa, które odurzony upadkiem usłyszał podróżny, były przekleństwami wiozącego żyda i całej trupy aktorów, leżącej w rowie. Kobięty przerażały cieniuchnym i piskliwym głosem, skowyczały delikatne pieski,

plakaly dzieci, mężczyźni popędliwie łajali, a żyd rozpaczał.

Wywrót ten niespodziany rozliczne grupy potworzył na gościńcu — Antreprenier w hiszpańskim płaszczu i bobrowej czapce przywalony był od bufona całej trupy w ogromnym fraku bardzo starej mody, jęczał pod niemi obydwoma dziesięcioletni chłopczyk, nadzieja wszystkich, wyrzekając na starego śmieszka, który się z miejsca podnosić nie chciał, utrzymując, że mu tak bardzo dobrze. Panna Delicja, którą bardzo komiecznie żydek trzymał w swoich objęciach, udawała omdlałą, z wielkim śmiechem przytomnych — Lukrecja zaś, którą stos poduszek przywalił, żaliła się

na nieład w ubiorze, i niezgrabność  
 woźnicy. Figaro jedną nogą był  
 w błotnistym rowie, drugą na dro-  
 dze i ze strachu słowa wymówić nie  
 mógł. Ogromna koryta jedną po-  
 łową napisu: *Ridendo*, padła na  
 pęk szpad i mieczów, a *Castigat*  
*mores* (o niefortunny wypadku) le-  
 żało — na kolanach najpiękniejszej  
 z Aktorek. Sztylet wpadł do cza-  
 pki żydowskiej, róż zarumienił ka-  
 łuzę, dekoracje ustały ziemię —  
 słowem widok tego pobojuwiska  
 najtwardsze serce poruszyłby do —  
 serdecznego śmiechu.

Powoli wszystko przychodzić do  
 siebie zaczęło, a Pan Walery z kwa-  
 śną miną wydobywszy się z pod  
 zwalisk swej bryki, odchodził na

bok, gdy mu wpadł w oczy pojazd, w którym siedział — Ksiądz Pleban zniecierpliwiony, iż mu zawalono drogę. Ale cóż to nowego uderzyło oczy podróżnego? — Jego światobliwość jechała z ładną, ale bardzo ładną panienką. Gdyby też nie to, zapewneby Walery nie pobiegł tak chyżo, powitać tego, od którego przed rokiem uciekał — Gdyby nie to, że ładna, świeża, rumiana twarzyczka ukazała się z za firanek, nie byłby przypomnieniem znajomości trudził przewielebnego ojca. Niski ukłon i śmiały rzut oka z sutanny na białą sukienkę, był zaczęciem, na które tonem nieukontentowania, dosyć rubasznie odpowiedział ksiądz Pleban.

— Chciałbym odnowić dawną znajomość i przypomnieć mu pokrewieństwo....

— Zwarzowałeś ze swoim pokrewieństwem! zawołał przewielebny, który ciągle brał mówiącego za aktora, ja z wami, ludźmi rozwiązłego życia, nie mam ani stosunków, ani znajomości, ani pokrewieństwa. Idźże sobie Wason precz.— W innym razie tak ostra odpowiedź, obraziłaby młodziana; ale kiedy miał głowę nabitą ładną, sąsiadki księdza Plebana twarzyczką, nie zważał na ofuknięcie i mówił dalej.

— Wszakże ja do tych aktorów nie należę, jestem Walery.

— A to co innego, rzekł udo-

bruchany Pleban, błąd swój poznając — najniższy sługa Wacana, cóż tu porabiasz?

— Jadę do Warszawy — a ksiądz dobrodziej?

— Jadę do Lublina, odwiedzić moją synowicę do Bernardynek — do klasztoru.

— Jakto? do klasztoru? zawołał nieumiejąc pokryć swego zadziwienia Pan Walery.

— Tak, do klasztoru, rzekł zmarszczywszy się Pleban, który uważał za rzecz w świecie najsprawiedliwszą, zamykać mimowolnie młodą ofiarę między cztery mury, nie dać jej użyć ani przyjemności towarzyskiego życia, ani słodkich uczuć miłości.



Nastąpiła chwila obustronnego milczenia, ksiądz poprawił się na siedzeniu i niby niechcący zasnuął firankę od strony Zosi, i dodał zwolna, spoglądając przed siebie — Tak, do klasztoru.

— Jedną więc drogą jedziemy, odpowiedział Walery, mój pojazd cokolwiek wygodniejszy, nie mógłbym do siebie prosić?

Biegły rachmistrz dójdzie od razu dla czego o to prosił, chciał bowiem bliżej się przypatrzeć ładnej kuzynce, ale ksiądz Plebau bardzo prędko odpowiedział — Chętnie, chętnie, i wnet zaczął wysiadać — Ot sam nie wiem, rzekł później, czy ją wziąć z sobą do pojazdu, czy nie, żeby Panu nie zawadzała.

— Co? zapytał uradowany Walery, myśląc, że mowa była o panience — o czém ksiądz dobrodziej mówi?

— O książce do nabożeństwa, odpowiedział Pleban — Można, można, rzekł zaambarasowany Walery, nieśmiejąc się przymówić o panienkę — A ty, dodał przewielebny do Zosi, pojedziesz sobie sama, zasłoń tylko firanki — Biędna dziewczyna, pomyślał westelnąwszy nasz podróżny i siedli do pojazdu, a w parę godzin stanęli w Zawieprzycach.

To miejsce od powieści Bronikowskiego, nowego nabrała zaję-

cia \*), chociaż i samo położenie bez wspomnień nawet potrafiloby zwrócić uwagę. Piątrowy pałac stojący na tarasie, panuje nad płynącym u stóp jego Wieprzem, dwie wielkie jodły sięgają okien pierwszego piętra. W oddaleniu ukazuje się ogród otoczony murem, krzyż odbijający promienie słońca nad mogiłą Greków, wielki dom zajezdny, młyn i most. Tratwy płynące rzeką, porozrzucane folwarki, nieprzejrzone łąki, i lasy siniejące zdaleka, składają piękne tło tego obrazu. Pleban zapakował znowu Zosię do bryczki, a sam ze swoim Brewiarzem i Walerym

---

\*) Der Schloss am Eberfluss. v. Bronikowski.

siadł do pojazdu. Z początku, czy to ze zwyczaju, czy też z próżności odmawiać zaczął nieszpory z gorliwością tak mocną, że go ta wkrótce o sen przyprawila. Zamknęły się świątobliwe oczy, ruszały się jeszcze mimowolnie usta, nareszcie Breviarz upadł z kolan, a głośnie chrapanie słyszeć się dało. Towarzysz jego spoglądał długo ciekawém okiem, to na Plebana, to na Breviarz, i chęć go wkońcu wzięła, przepatrzyć ten foljał; łacina szkolna jeszcze mu była nie ze wszystkiém wywietrzała z głowy, a ciekawość wrodzona wszystkim ludziom pobudziła go do śledzenia obrazków, zakładek i mnogich zawartych tam papierków. Nie mo-

żna ganić menu podróżnemu, że odczytywał te szpargaly, cóż bowiem tajnego nicć może księga do Plebana należąca? — cóż innego zawierać może nad wyjątki z kazai, nonatki textów, lub obrazki —? Ztém wszystkiém było tam coś więcej jeszcze — kawalek listu służący za zakładkę — Ciekawie pochwycił go Walery, ale zaledwie wierszy kilka przeczytał, zachmurzyło się jego czoło, i z pogardą rzucił wzrok na spoczywającego księdza. Rzucił potém Brewiarz, porwał powtórnie urywek, przeczytał znowu i schował do kieszeni. Jeżeli czytelnicy moi, równie są jak mój bohater ciekawi, mogą im tu ten kawalek listu przytoczyć.

„Die 4 Septemb.

„Kochany Bracie.

„Wygnań wszelką obawę ze swe-  
 „go serca, mój zamiar nadto był  
 „dobrze ułożony i skombinowany,  
 „aby się kiedy mógł wydać. Oblig  
 „tak podrobiono paradnie, że i li-  
 „cho tam fałszu nie dostrzeże; a  
 „potém wyznaj, że mój synowiec  
 „nadto ma mało przenikliwości,  
 „ażeby tego doszedł. Trzymam  
 „teraz Powijówkę pod pozorem  
 „kupna od Pana Truszki, i nikt mi  
 „w tém nie zadać nie może. Wać  
 „się tam tylko Mości Księżę nie  
 „wygadaj, a list ten spal prędko..„

Na drugiej zaś stronie było do-  
 pisano:

„Jeślibyś się gdzie spotkał z Walerym, bądź dla niego grzeczny;  
 „Zosię co najprędzej pakuj do Bernardynek, bo już tu miłostek jakichś dostrzegam.”

O! jakąż burzę w sercu ufném Walerego, sprawił ten listu urywek, jakże popsuł jego mniemania o ludziach, i okazał mu jawnie, że nie takimi są, jakimi się wydają. Prędzej czy później doświadczyć tego musiał; ale czyż można było smutniejszy mieć dowód, nad przekonanie o zdradzie własnego stryja. Długo te myśli mięszaly się w jego umyśle, a dobre jego serce przyjąć ich nawet nie chciało. Im bardziej się zastanawiał, tém mniej mógł pojąć, ażeby żądza nabycia

majątku, do tego stopnia mogła zaślepić człowieka. Ale wtém pojeździe stanął przed rogatką w Lublinie, towarzysz podróży ocknął się ze snu, złożył Breviarz i poziewając spoglądał na bryczkę z Zosią w tyle idącą. Postępował zwolna pojazd pomiędzy dwóma rzędami, błotnistych, okopconych i brudnych domów: aż nareszcie wjechali do miasta ulicą Grodzką przez Żydowską bramę, i różnego rodzaju figury snuć się przed nimi zaczęły. Tam szedł siwy starzec w długiej kapocie, rzemienionym pasem ściśnionej, z długą łaską, z długimi włosami, w długich butach, z długim nosem, niósł pod pachą plik papierów i śmiało



poglądał na klanających się żydów — był to woźny.

Przed nim posuwał się, a raczej płynął ogromny sędzia, nadęty miłością własną i swoim znaczeniem, z miną pogardy rozdzielając, klanającym mu się ukłony, skinienia, lub łaskawe rzucenie okiem. Znać w nim było, że nie dziś już sędzią został, bo już i utyć miał czas na urzędzie, i nabrać miny właściwej swemu stanowi. Postać jego zdaleka podobna była do beczki toczącej się na kolkach, okrytej płaszczem hiszpańskim, i zakończonej spiczastym kapeluszem, z pod którego kiedy niekiedy kawałek twarzy się ukazywał. Tak straszną miał postać, tak nieprzyjemne wej-

rzenie i odrażający sposób obcowania, że, jak ja sądzę, sama nawet sprawiedliwość uciekać przed nim musiała.

Cokolwiek dalej szedł trotuarem chudy, wysoki, blady, w polskim stroju jegomość; prowadząc pod rękę, tłustą, rumianą, z iskrzącymi się oczyma jejmość dobrodziejkę, której postać wystawiała tak ogromną sprzeczność z powierzchownością męża, iż można by ich wziąć za wzór, do odmalowania sprawiedliwości i klientów. Mnóstwo osób przechodziło tu i ówdzie, nie licząc trzpiotów, bo ci się za osoby nie rachują, a Pleban pełen niespokojności o Zosię, wyglądał, kręcił się i koniec końców, kazał

stanąć, wysiadł z pojazdu Wale-  
rego i udał się do swojej bryki.

— Wysiadaż Waćpanna, rzekł  
do synowicy, i przejdź do tamtego  
pojazdu, żebyśmy mogli być ra-  
zem, a ja tu, dodał wstępując je-  
dną nogą na stopień, gdy tymcza-  
sem Zosia wysiadała, ja tu cokol-  
wiek w naszej bryce poukładam,  
żeby się jadąc po bruku nie roz-  
trzęsło. Skończywszy mówić, za-  
czął istotnie, stojąc ciągle na sto-  
pniu pakować różne manatki; gdy  
wtém naprzeciw słyszeć się dała  
trąbka postyljońska, i dylizans się  
ukazał— Furman nieuważając, iż  
przewielebny stał na stopniu, na-  
gle zwrócił, a ksiądz Pleban—  
legł jak długi na bruku. Hałas

wszczał się w okolo, mnóstwo próżniaków i ciekawych, przechodzących i przejeżdżających zgromadziło się w okolo patrzeć na księdza — leżącego w rynsztoku bez zmysłów. Nadbiegł przemyślny żydek, w widokach korzyści, dewotka dla użalenia się nad bliźnim, młodzik dla uśmiania się do woli, a przekupki, żeby miały później o czém gadać. Ledwie przez ten tłum ściśniony dobił się Walery, posadziwszy Zosię w pojeździe, do przewielebnego, i sutém pokropieniem wody, do zmysłów go przyprowadził. Oczy Plebana otworzyły się powoli, westchnienie jakby po dobrej kolacji słyszeć się dało z głębi piersi, błędny wzrok

powiódł po zgromadzeniu, i grubym zawołał głosem: *O dla Boga! a gdzież Zośka?* — Śmiechy słyszeć się dały wokóło, i grube żarty odzywały się tu i ówdzie, że ledwie oczy otworzył ksiądz Pleban — wspomniął dziewczynę; ale Walery zapobiegł ile mógł temu, chwycił go, i uniósł z sobą do pojazdu.



---

## IX.

### ZOSIA W MIEŚCIE.

---

Pełno karét, pojazdów, ludzi różnych spotykałam, każdy z jakiegokolwiek powodu, śpiesznie zdawał się dążyć. Modny jakiś ekwipaż pojazd mój zawadził, i przy świetle pochodni, dojrzeć mogłam w tej karécie bardzo piękną osobę płci mój, niesłychanie strojną, na której twarzy znać było niecierpliwość prędkiego zajechania, i nadzieję zabaw, które na nią czekały,— smutno mi się zrobiło. Ja bez żadnego powodu jechałam, mnie nigdzie nie czekano, ja do nikogo nie śpieszyłam!

MALWINA.

Nie mogę od innej uwagi zacząć tego rozdziału, nad tę — że ludzkie zamiary, są jak pyłek w powie-

trzu, Iada wiatr zawieje, a będziemy zmuszeni z Kochanowskim powiedzieć:

„Wiatrem nadziane pęknęły nadzieje !„

Doznał tego nasz przewielebny ojciec Kalistrat Pleban z Mirowicz, gdy przed upadkiem swoim, marzył, iż natychmiast oddawszy synowicę, wróci do swojej Plebanii odpocząć po trudach podróży: a teraz leżał w domu zajczdnym na Krakowskiém przedmieściu, z nogą plastrami obłożoną, spoglądając kwaśno na Zosię, którą za przyczynę swego przypadku uważał.

W umyśle jego słabym, mocno tkwiły obraźliwe żarty, wycierpiane z jej przyczyny; choć dobry

chrześcijanin, żądał jednak zemścić się jakimkolwiek sposobem; szukał w głowie powodu połajania, ale nie wiedział sam co powiedzieć. Chrzakał, kręcił się, stękał, nakoniec spojrzawszy surowo na synowicę w drugim końcu pokoju, przy oknie siedzącą, zmarszczył brwi, podniósł ściśnione usta, przymrużył oczy i zawołał: — Odstap od okna! o, ciekawska! będzie ona sobie przez szybki wyglądać? podaj sam Breviarz, zmówiemy litaniją do wszystkich świętych, odpowiadaj mi *ora pro nobis* — uklęknać — tak!...

Głośnie zaczęło się pobożne ćwiczenie, ale zaledwie doszło do połowy, Pleban dotąd coraz ciszej



wymieniający świętych, przy świę-  
 tym Wincentym, skleił pobożne  
 oczy, ruszył raz jeszcze wargami,  
 Brewiarz na łóżko upuścił — i za-  
 snął; a braciszek po kweście chodzą-  
 cy, zdejmując czapeczkę, wszedł do  
 pokoju, i wstrząsając karbonką, pro-  
 sił o jałmużnę. Kobięty są litościwe,  
 i często zadaleko nawet tę cnotę po-  
 suwają; Zosia też, od plci swej nie-  
 odrodna, wyjmowała już dwózło-  
 tówkę z woreczka, gdy Płeban o-  
 tworzył usta i oczy i surowym to-  
 nem, zgromił synowiec. — Idź do  
 bogatszych, rzekł braciszкови,  
 niech cię Pan Bóg opatrzy — Zo-  
 sia spuściła z westchnieniem dwó-  
 złotówkę nazad do woreczka i li-  
 tościwie na odchodzącego spojrze-

ła. Pleban szeroko poziewał, odrzucił Breviarz i zamyślił się głęboko. Obłożona plastrami noga nie dozwalała ruszyć się z miejsca, chociaż myśl jego czynna, rada była widzieć synowicę u Bernardynck, a siebie we własnym domu, jednak trudno było spełnić to życzenie, noga jak bolała, tak bolała. Napróżno Pleban, niecierpliwil się, łajał, dąsał, trzeba było cierpieć— a tego rodzaju niewoli, kiedy władze umysłu, ciała podległe być muszą, człek niezmiernie nie lubi.

Dzień mijał, zmierzch nadchodził; chłopiec z latarnią w rękę, świstając krakowiaka, zapalił rewerber na ulicy, który słabo oświecając przechodniów, długie po

bruku malował cienie. Pleban usypiał powoli. Zosia nieśmiało zbliżyła się do okna i rzuciła wzrok tęskny na ulicę.

Świetne pojazdy pełne dam strojnych przesuwwały się przed jej oczyma; śpieszyli na Teatr składający orkiestrę, niosąc w ręku latarnie, a pod płaszczem instrumenta. Przesuwał się pod kamienicami zamysłony żydek, jaśniały lampy w sklepach i aptekach, niestale światła promyki wymykały się na ulicę z okienic dolnych mieszkań. Słychać było stukanie do drzwi, późno wracających lokatorów i gderanie stróżów na rygiel drzwi za wchodzącymi zatrzasnkujących. Nieśmiały parasjanin, odurzony krzy-

kiem i tłumem, szukał okiem mieszkania swego, na najmniejszy hałas ustępując się z drogi. Włokły się z turkotem po bruku, próżne drążki z kiwającym się na koźle woznicą, którego oczy posilny trunek przymykał.

Szerokim płaszczem okryty oficer, szukał z niespokojnością znajomego okienka i przeklinał zdradzającego go ostrogi. Wracalo z kilku wizyt wesole grono młodzieży, której rosinowa rozlegała się po ulicy. Niżsi urzędnicy i pisarkowie cicho wyunykali się z cukierni i billardów, a kilku przyjaciół ostrożności, pilnujących cudzej kieszki, uważnie tam i sam przechodziło ulicę, rzucając wzrok wpra-

wny na przechodniów i drzwi domów.

Z nieznaném dotąd zajęciem, spoglądała Zosia, na ten świat tak różny od cichego solwarku, w którym była wychowana i od posępnego ustronia, dokąd ją wieziono, od tego klasztoru, który nieporuszony i jednostajny, jak wyspa na morzu \*) odbijająca morskie bałwany, nigdy nie widział wstępującej w swe progi, wesołej radości i zabaw niewinnych. O jakże różném było to wszystko od tego, co dotąd widziała! ruch, czynność, наконец to wyobrażenie, iż w mieście wszyscy się

---

\*) Bywają jednak przypadki, że morze wyspy zalewa, ale to rzadko.

bawią, lub do cudzej przykładają zabawy, smutnie z uczuciami jej serca, było w sprzeczności. — Sama jedna, myślała sobie, rzucona na świat szeroki, a jednak w ciasnym zamknięta obrębie, bez przyjaciół i znajomych, bez czułego i litościwego serca, skazana na nieprzerwane więzienie — Ach! cóż pocznę? zawołała mimowolnie, piękne swe oczy łzami zalawszy.

— Czapki, kapelnsze, miotelki! odezwał się głos we drzwiach, przerywający dumanie Zosi i sen Plebana.



---

## X.

### AMATOR KALENDARZY.

#### I

### DWAJ SKĄPCY.

---

Nie wszyscy ludzie jedne charaktery mają —  
Ci skąpi; ci rozrzotni, nadto wiele dają;  
Ten jest nadto nieczuły; a ów nadto czuje;  
Ten nikogo nie kocha; ów wszystkich mi-  
łoje.

BEZIMIENNY.

— A kto tam? zawołała kuchar-  
ka drzwi otwierając i z za nich uj-  
rzała z podziwieniem — księdza  
niepospolitej brylowatości, z gru-  
bym kijem i tak kwaśną miną, jak  
ocet siedmiu złodziei.

— Czy jest w domu jegomość? zapytał przychodzący, krzywo spoglądając na zasmoloną kucharkę i brudny pokój.

— A gdzieżby się u licha podział, odpowiedziała ostatnia drzwi drugie zwolna odmykając, gdyby go w domu nie było?

Z należytą powagą, ksiądz przeszedł kuchnią i wszedł mówiąc: — Niechże będzie pochwalony —

— A, jak się masz! jak się masz, kochany ojeze! kopę lat nie widzieliśmy się z sobą, odpowiedział chudy, w wytartym fraku gospodarz, porywając się z krzesła. Zdaje mi się, że od ostatniego jarmarku w roku pozaprzeszłym, na oczy ciebie



nie widziałem. No, siadajże mój ojeze, co tam słyehać dobrego?

— Wszystko po staremu, odpowiedział Pleban stękając, i dodał kiwnąwszy głową — bięda na świecie!

— Porzucć Wasze te stare bajki, rzekł gospodarz, księża cierpliwie wszystko znosić powinni.

— Ale, mój bracie, jakże idzie twój zbiór Kalendarzy?

— Nie najlepiej, odpowiedział drugi z miną człowieka, który wpadł na swój przedmiot. Mam dużo szkody, myszy mimo połapek, gryzą mi Kalendarze, a moja kneharka, stworzenie ograniczone, kilka najdroższych, jedynych w swym rodzaju exemplarzy niegodziwie pokale-

czyła— Brzydki to okazuje charakter duszy!— Ale! co ci powiem, nabyłem w jednym sklepie całuteczki Kalendarz Duńczewskiego, teraz o Niewieskiego się staram, bo straciłem całę nadzieję dostać kiedykolwiek Krakowskich Kalendarzy. Gotuję także do druku *List o Kalendarzodziejach*, który moje imię w potomności zapisze.

—Więc będę miał w przyjacielu *drukowanego* autora, rzekł uśmiechając się Pleban; ale bądź też łaskaw, wytłumacz mi, co ty u licha dobrego widzisz w tych szpargalach!

—Patrzcież! krzyknął zalamując ręce filolog, do czego człowieka niewiedomość doprowadzić może!

Jeżeli szczerą masz wolę dowiedzieć się o ważności tych pism szacownych, posłuchaj, a przeczytam ci kawalek przemowy.

— I, dałbyś tennu pokój, rzekł Pleban, to być musi nudne.

— Jako nudne? jako nudne? krzyknął z autorskim zapalem gospodarz. Otoż to mi krytyk! nie czytał, a sądzi — Proszę chwilę posłuchać.

„Wynalazek Kalendarzy największej, mojem zdaniem, chluby umysłowi ludzkiemu przynosi; widać w nim jawnie dążność ku upowszechnieniu oświaty — jestto bowiem rodzaj malej encyklopedii. Tu znajdziesz Historję w epokach, Poezję, Jeografię okaza pocztę,

Chronologii pełno, Astronomija jest w lunacjach i zaćmieniach, Chemija w surrogatach i preparatach, Technologiją w gospodarskich przepisach, Medycynę ujrzysz w receptach, zdrową moralność w maxymach i t. d. Człowiek ucziwy i dbały o chwałę narodu, mało co więcej znać nad Kalendarz powinien! tak przodkowie nasi czynili, i dobrze im z tém było; teraz zaś, gdy *szatańskim wymysłem ludzkiego dowcipu*, zaczęto się wdawać w bezbożne i zakazane księgi, poczciwość kulać zaczęła, cnota ledwie się gdzie wlecze, a sprawiedliwość puściła szalki i zasnęła. Cała winna — że Kalendarzy nie czytają, a złe książki miłują; nie

jeden młodziak co na Kalendarzu czytać się uczył, dziś spojrzeć nie chce na swego dobrodzieja — jawne jest zepsucie i korrupcja obyczajów; a jeśli temu nie zapobiegna, świat upadnie i — Kalendarze wydawać przestana!”

Skończywszy czytać, spojrział pewny sowitej pochwały gospodarz na Plebana, który natychmiast przemówił:

—Wybornie, ślicznie — jest tu i sens i interpunkcja!

—Natém zasada, rzekł pierwszy, żeby rzeczy dowieść.

—Ale i interpunkcja potrzebna! rzekł Pleban kiwając głową, o! interpunkcja, to grunt rzeczy! ale

mówny o czém inném — co tu słychać?

— Nic nowego — powiedzże mi bracie, za jakim interessem tu przybyłeś, bo to ty rzadkim u nas jesteś gościem.

— Odwiozłem synowicę do klasztoru.

— Cóż to? czy tak ekstraordynaryjną miała wokacją?

— Ona — nie, ale jej ojciec miał do tego wokacją, żałował dać posagu, a wiedząc, iż bez niego panny teraz niepopłatne, oddał ją do klasztoru — Co ma siedzieć na karku, niechaj lepicj Boga chwali!

— Ani słowa — ale zdaje się twój brat ma duży majątek?

— Juścić on tam trochę uzbierał.

ale — mospanie — chce sobie zostawić, pewniejsze to co w ręku, i, jak to powiadają, lepszy szeląg w kieszeni, jak dukat w cudzém ręku.

— Ani słowa — czytałem i ja to przysłowie, nie pamiętam na której karcie!

— A potem, dodał Pleban, możeby mój brat tego nie zrobił, ale jej nie lubi — bo u niej, co w myśli, to na języku; a Pan Waglcer człek ostrożny, woli sobie pocichu postępować... Oj! do licha! zasiedziałem sobie chorą nogę.

— A co ci to w nogę!

— Trochę stłukłem przypadkiem; chodźmy przejść się nieco — to mi ulży.

—Najchętniej.

Kończąc te słowa wyszli oba, a że to było rano, postanowili pójść na kawę.

—Patrz no, rzekł po chwili Pleban, tu jest napis:

*Kawa, herbata, gazety,  
Zajdźmy tu!*

—A to zajdźmy, rzekł amator Kalendarzy, i weszli.

Przy drugim naprzeciw nich sto-  
liku, siedział okrągławy doktor,  
we fraku z krzyżykiem, z laską w rę-  
ku, i Pisarz sądowy. Pan Blumer  
oszczędny w życiu i receptach, bo  
nie wiele ich pisał, chwalił półgło-  
sem oszczędność— potakiwał mu  
Pan Piórko, i taka między nimi  
zawiazała się rozmowa.



— Otóżto, mój mości dobrodzieju, rzekł pierwszy, to nas gubi, ta próżna wystawa, ten przepych we wszystkiém, bo jak lekarstwo, w miarę dane uzdrawia, przesadzone zabija: tak rozrzutność nas gubi. Ja to, mój mości dobrodzieju, już i nie pamiętam, kiedy ten frak sprawiłem — tylko co rok, każę pobielić guziki, frak wytrześcić i wycisnąć — i kwita; — a terazniejsi modnisi, to — co rok, to frak, co frak to pieniądze, co pieniądze to wydatek — a za wydatkami idzie golizna. Oj, tak, tak, mój mości dobrodzieju.

— Wielka to prawda, i święte słowa, odpowiedział drugi, okropnie teraz expensują — sprawi ktoś

surdut, to nie dosyć, sprawi jeszcze fraezek, a nakoniec i plaszcz! a to rzecz niesłychana! Dolej kroplę wody do atramentu — dobrze: nalejże wiele, tak będziesz miał Inrę, ni atrament, ni wodę — Ledwie tych wyrazów dokończył, wpadł zadyszany młodzieniec i błagającym głosem zawołał:

— Na miłość Boga! Panie Blumer, biegnij moją matkę ratować.

— Natychmiast służę, zinnno odpowiedział doktor dopijając kawy — ale, widzisz Pan, ja zawsze wprzódym nim pójdę — pytam o zapłatę.

— Śpiesz się tylko, żywo i z bo-

leścią odpowiedział nieznajomy, dam co zechcesz.

Czuły tylko na widok brzęczącej monety, nie powstał jeszcze doktor. — Ja, rzecze znowu, nie przestaję na próżnych obietnicach — ciężkie czasy, wydatek nas gubi — od czterech dukatów, notabenc, ważnych, nie pójdę.

— Każda chwila jest droga, dodał z żywą niespokojnością młodzieńiec, idź co prędzej, dam ci dziesięć.

— Idę, idę, śpieszno podchwycił rozczulony obietnicą lekarz; o co teraz to idę, biegnę, lecę.

Z temi słowy już się był do drzwi posunął, kiedy zobaczywszy na sto-

le, pozostałe pół bulki, wrócił,  
a chowając do kieszeni, rzekł do  
pisarza pocichu! — Lepszy rydz,  
niż nic,



---

## XI.

### U Ł A N.

---

Niech kto chce na dżdżu, we zbroi,  
Całą noc na straży stoi,  
Niechaj Tatary wajuje,  
Do obronnych miast szturmuje,  
I długie kruszy kopije,  
Ostrą szablą rąbiąc szyje.

ZBYLITOWSKI. Wieśniak.

Opuściliśmy byli na chwil parę główną w tej powieści osobę, to jest: Pana Walerego, i przecz ten czas, tak wielka w nim zaszła odmiana, że ją czytelnikom oznajmić muszę — zaciągnął się do wojska. Trudno bardzo pojąć, dla czego dostawszy ułamek listu, znalezi-

ny w Brewiarzu, nie udał się z nim do stryja, i nie wymógł oddanie majątku — musiał w tém mieć swoje widoki, o których autor nie wie, a tém samém, i nie powiedzieć nie może.

Warto jednak spojrzeć co teraz porabia — świeca dopala się w lichtarzu, błady jej płomień słabo tylko pokój oświeca, a cień długi z podnoszeniem się jego lub zniżaniem, rośnie lub maleje. Walery duma sparty o krzesło, spuścił oczy, a niecruchoma jego postać, domyślać się każe, iż śpi albo myśli. Na twarzy widać wyraźne oznaki pewnej umysłowej choroby, której ja nie znam, ale symptoma — ta opiszę.

Ciągle zamyślanie się, westchnienia, samotne przechadzki, wznoszenia oczu i czytanie czułych romansów — oto znaki. Teraz moi państwo, którzyście w Akademii Sentymentalnej, stopnie doktorów otrzymali, którzy, po minach, gestach, spojrzeniach i poruszeniach poznajecie rodzaj choroby sercowej; wy, którzy z niczego wielkie, z wielkich rzeczy, małe robić umiecie; słowem wy, pisarze czułych romansów! powiedzcie, w jakim stopniu mój bohater ma chorobę serca? i czy go jeszcze można z niej uleczyć? — szkoda by mi bowiem była, gdyby tak prędko zaprowadziła go do grobu, bo mam nadzieję, że z jego łaski ten przynajmniej

tonik zapisać potrafię. Dla dokładniejszego poznania jego charakteru, przeczytajmy urywek z jego dziennika.

*„Dnia... w drodze.*

„Smutno nadzwyczaj dzisiejszy  
 „dzień spędziłem; kraj nasz wyda-  
 „je się pustynią, po innych, któ-  
 „re zwiedziłem. Włochy są kra-  
 „ną dumań, wysilenia umysłowe-  
 „go i pewnego rodzaju ociężało-  
 „ści, we Francji wszystko oddycha  
 „wesolnością i zabawami, w Niem-  
 „czech uwielbiam pocziwość, sta-  
 „tek i porządek, Anglija jest kra-  
 „jem dziwaków, a u nas znajdziem  
 „przymioty i wady wszystkich na-  
 „rodów, przesadzone, lub sparo-  
 „djowane.



„Zaciągam się do wojska, niech  
„kto co chce mówi, lepsza to słu-  
„żba od innych. ”

Tu się kończy ten urywek, z któ-  
rego niech się sobie czytelnicy do-  
myślają, o charakterze i sposobie  
myślenia Pana Walerego, ja nie  
nie powiem.

Nazajutrz pokazawszy się na pa-  
radzie, zjadłszy obiad u jednego ze  
znajomych, posiedziawszy u siebie  
parę godzin, wyszedł odwiedzić na  
Pradze łaskawego przyjaciela.

Izdehka, w której się ukazał, pel-  
na była dymu od fajek, czterech  
wysmukłych poruczników, siedzia-  
ło a raczej leżało na kanapie, gospo-  
darz zamyślony przewracał książki  
na stoliku, a Pan Walery po przy-

witaniu, siadł z papicrem jakimś w ręku, przy oknie. Koło kanapy stół ze wszystkiemi porządkami do herbaty był zastawiony, w kącie widać było strzelbę i torbę, na kantorku rozsypano świeżo kupiony tytuń; cały pokój obity był niebieskim w kwiaty papierem, a okna popisane czułemi wierszami.

Rozmowa mdlejąca wlecze się, (bo nie mogę mówić, że się prowadzi), między Panem Walerym, a jednym z wojskowych.

— Czy wieszże panie nowo-zaciągniony, że za tydzień wyruszamy z Warszawy? ach! jakże mi żal porzucić stolicę. Wtedy, gdy dopiero żyć zaczynał, kiedy tyle *przyjemnych* poznałem osób, i proro-

kowalem sobie, że się będę bawić szalenie — nieznośny rozkaz, niszczy wszystkie moje nadzieje.

— Wielka szkoda; odpowiedział Pau Walery z krwią zimną.

— Prawdziwie szkoda! jeszcze tobie wybaczam tę oziębłość, boś nie poznał rozkoszy wielkiego miasta; ale nam to nam, mój panie! nieodżałowana szkoda —

— Nieporównana szkoda; dodał drugi wojskowy.

— Wielka szkoda! rzekł bardzo oziębłe Pan Walery.

— Tobie jak tobie, zawołał pierwszy, ale nam! cośmy tu tyle zrobili *konesansów*! nam wypada tylko na nasz stan się skarżyć, któ-

ry chwili na miejscu nie da posiedzieć!

— Nie trzeba go było Panu obierać, zcicha przebaknął Pan Walery.

— Jak nie obierać, kiedy też tyśiące w nim jest przyjemności!

To mówiące wojskowy, poprawił szlify i akcelbanty, zabrząknął ostrogami, zanucił piosnkę i przeglądował się w lustrze.

Dumał tym czasem Walery, a wkrótce pożegnawszy towarzystwo, obwinięty w płaszcz, szedł ku miastu. Malowały się zdaleka na zmierzchném niebie, kopuły i krzyże kościołów, rozległe gmachy i wyższe domy, dymiły się tyśiące kominów, a myśl wędrowca jak ten dym ula-

tywała tu i ówdzie; już mijał most dzielący Pragę od Warszawy— szły tu i ówdzie bryki kupieckie, ciągnął się rząd markitańskich powózek, wracali z targu okoliczni mieszkańcy i zeicha rozmawiając szły kobiety ze wsi, przedawszy co miały, ze starannie w węzelek uwiązanym groszem zarobkowym.

Spotykał się co chwila Pan Walerj, to z chłopcem wesółym idącym po świeczkę do sklepu, to z drążkarzem oczekującym przechodnia świszcząc narodową piosnkę, to z próżniakiem jakim uciekającym od lejącego deszczu. Śpieszyli nadzy pod ganki, głodni do restauratora, pragnący do winiarza, chorzy do doktorów, łakotni-

sic do cukierni, żydki do kotary,  
 próżniacy do miękkiego łóżka, li-  
 chwiarze z bijącym sercem do ko-  
 chanego złotka, celnicy przemysł-  
 ni na roгатki, rzemieślnicy do szy-  
 neczków, żołnierze na wartę, zło-  
 dzieje na zwiady, studenci do  
 grammatyk, inni Bóg wie gdzie—  
 a Pał Walery wstępował na wscho-  
 dy.



---

## XII.

### KWATERA.

---

O jak szczęśliwy, kto w tém ustroniu,  
Dłuższe wieść będzie godziny!  
Lecz ja.... niestety! dalej mój koniu!

ODYNIEC.

Jeszcze daleko było do świtu, i błędne tylko po brukach posuwały się dorożki, lub okryty i drżący od chłodu szedł zatrudniony żydek, jeszcze zaledwie odezwiała się harmonija żydowskich pantofli, a już spostrzegać się dawali żołnierze, w tym dniu mający opuścić stolicę. Ten niósł na sobie małą chudobę, ów prowadził powodnego konia,

inny poświstując biegł kupić co na drogę, ten znowu żegnał się ze znajomemi — każdy się śpieszył, a mieszkańcy stolicy pogrążeni byli jeszcze we śnie głębokim. Po kilku godzinach tego zachodu, zgromadzony pułk, przy odgłosie muzyki, opuścił Warszawę. Długo jeszcze za nim ciągnęły się konie powodne, pojazdy, bryki, chorzy i tłum maruderów — wszyscy żegnali stolicę; — nie jeden ulan pokręcając wężem, długo spoglądał za siebie i szukał okiem dobrze mu znajomego okienka, które już nie prędko miał obaczyć. Smutny i bardzo smutny był moment rozstania dla tych, których serca zostawały w stolicy, którzy przywy-



kli byli do jej życia i zabaw, lub rzucali drogie osoby.

Już tylko zdaleka widać było połyskujące od wschodzącego słońca kopuły, krzyże i dachy, a jednak nie jedne oczy z westchnieniem zwracały się jeszcze ku lubej Warszawie. Nikły nakoniec z oczu ostatecznie jej ślady, jednak w tę stronę mimowolnie natężał się wzrok jadących ulanów — taka jest moc nawyknienia; bo przywiązanie do miejsc, a często i do osób, jest tylko upartym nałogiem.

— Długo bardzo cicho siedziałem, przerwał mi mój przyjaciel, ale teraz pozwól zrobić uwagę, że twoja powieść mało ma intrygi, malujesz, ale zająć nie umiesz.

— Mamże przestać czytać? zapytałem.

— Nie, bynajmniej— słucham cierpliwie do końca.

— Po kilku-dniowym marszu da-  
no Panu Waleremu kwaterę w bar-  
dzo posępncm ustroniu.

Lada żołnierz nie potrafi od razu zwrócić na siebie uwagi— mój u-  
łan dostawszy ciemny pokoik w ką-  
cie officyn, bez książek i towarzy-  
stwa nudne od dni kilku pędził go-  
dziny. Umiął on cenić tę laskę, że  
go przecię we wsi nie postawiono,  
ale odosobnienie, znaczące trochę  
pogardy, mocno bolało jego duszę.  
Człowiek nieprzyzwyczajony do po-  
dobnych poniżeń, z wielką przy-  
krością je znosi; ale nie zapędzam

się dalej w te uwagi, gotowi by mnie posądzić o nadętość i styl górny, a ja — wcale Longina nie czytałem, i jestem sobie prosty tylko opowiadacz.

Jednego popołudnia, wyglądał przez okno i mimo jesiennej pory, wpadło mu na myśl, iż przechadzka mogłaby go zabawić — Słyszałem, pomyślał sobie, iż tu ma być piękny ogród, przecież mi nie zabronią wejść do niego. — Skrzyknęła fórtka i Pan Walery wszedł do ogrodu —; pełno było opadłych liści, wiatr jesienny świszczął pomiędzy огоłoconemi gałęzmi, mgły pokryły nicbo, a ta pora i widok zgadzały się zupełnie ze stanem jego duszy, posępnym i smutnym.

Starożytne lipowe szpalery ciągnęły się wzdłuż ogrodu, na którego końcu widać było kanał, młyn i las w głębi. Środkiem szła ulica ze starożytnych jodeł, posępne te drzewa, ciemną zielonością i smutnym szumem, wprowadzały w głębokie dumania.

Nie będę opisywał wszystkich szczegółów starożytnego ogrodu—ani pustelniczego domku, do którego prowadziła kręta, między wyniosłemi drzewy idąca ścieżka, ani ciemnych altan i ławeczek, ani pięknych widoków i innych szczegółów, ale pójdę z Walerym. Po długim okrażaniu i przechadzce, wszedł na most stojący na kanale otoczonym olchami i minawszy go

njrzał wśród dwóch klombów, mnóstwa drzew starych i wysady włoskich topoli — okrągłą kaplicę. Krzyż na niej będący odbijał promień jesiennego słońca, wychodzący z zachmury, jednostajna panowała cichość, wróbel tylko świegotal pod dachem, a liść zeschnięty szeleszczał pod nogą; usiadł Walerj na stopniach wchodowych, i w smutnych zatopił się myślach. Nie wiem jak długo trwałoby to dumanie, gdyby szelest odległy i głośnie rozmowa, nie dały się słyszeć i nie zbliżały się coraz bardziej. W parę minut przeszło koło niego kilka kobiet; już go mijaly — Długie salopy, ciepłe chustki i kapelusze okrywały je, a roz-

mowa na chwilę przerywana, zwol-  
na wzrastać zaczęła; w fórtce obró-  
ciła się jedna ku Waleremu, spoj-  
rzała — a on poznał — Julją.



---

## XIII.

### KTO TO ZROZUMIE?

---

Bagactwo jedzie sobie na wozie wysokim,  
Córka jej pycha przed nią z bystrém okiem,  
Fortel woznica, chytrósć i drapiestwo konie,  
A liebwa, pani stara z workami na lonie;  
Prażne wesele, idzie wszeleczność i zdrada  
Przy wozie, i obłudnych roskoszy gromada.

JAN KOCHANOWSKI.

Zmierzało się — Pan Wagleer  
mijał drżącym i niepewnym kro-  
kiem szereg pustych pokoi, szedł  
zamyślony, a rysy twarzy jawnie  
wydawały stan duszy wzburzony...  
Zapadłe oczy, ogromne brwi, z pod  
których ukradkiem wychodziły śle-

dzące wejrzenia, słowem, wszystko odkryć mogło, że jego sumienie dręczyło go w tej chwili. Usiadł nakoniec przed stołem zarzuconym starymi papierami i szpargalami; w okół stały okute skrzyneczki, obok mizerne łóżko, naprzeciw pochylona komoda z wiszącym nad nią portretem Czesława, zarzucona butelkami próżnemi, kawałkami zerdzawiałych żelastw, i innemi mało znacznemi drobiazgami. Starzec się głęboko zamyślił, ale częste tam i sam spojrzenia, poruszenia i niespokojność, myśleć nawet spokojnie mu nie dały. Zdaleka odczuwało się szybkie stąpanie, Wagleer zeskoczył z krzesła i stanął oczekując przychodnia;



skrzypnęły drzwi nakoniec, a mężczyzna średniego wzrostu, młody, z pogardą wyraźną w spojrzeniu — wszedł szybko do pokoju i stanął naprzeciw starca.

— Czego chcesz? zawołał ten ostatni, przyszedłeś może urągać się ze mnie?

— Nie urągać, stale odpowiadał nieznajomy, ale oznajmić mu, bo skrycie nie robić nie chcę — że gdy, jak mu wiadomo, przypadek tajemnicę mi odkrył, muszę ją natychmiast złożyć temu, którego najmocniej obchodzi.

Słuchał ze spuszczonemi oczyma Wagleer całej tej mowy, lecz gdy skończył młodzieniec, stary pod-

niósł oczy, uśmiał się z urąganiem i biorąc go za rękę poprowadził do stołu, pokazał papier jakiś łączący i rzekł patrząc bystro na niego: — A o témże zapomniałeś?

Pomieszanie, boleść, smutek, kolejno malować się zaczęły na twarzy młodego człowieka, a Wagler zdawał się z jego przykrego położenia radować.

— No i cóż, rzekł stary, здаје mi się, że mogę zapobiedz temu, czém mi grozisz, i że będziesz łaskaw przyjąć warunki, które podaję?

— Gdyby nie moja matka! przemówił nakoniec milczący i smutny nieznajomy, gdyby nie to, żeś mię własném mojm niebezpieczeństwem do tego przymusił — ale

nie — podłość mię nigdy nie ska-  
zi! dodał z nową mocą.

— Nie nazywaj to podłością, że  
cię potrzeba zmusza do milczenia,  
bliźni jest drugim, ty wprzód o so-  
bie musisz myśleć — ale, nie trać  
czasu, mów, mamże zedrzyć to pi-  
smo, lub na mocy jego wyzuć cie-  
bie i twoją matkę — ?

— Drzyj! rzekł zdobywszy się na  
ten wyraz młodzieniec, gdyby nie  
matka, gdyby nie to, że jej wszyst-  
ko poświęcić muszę — pokazał-  
bym, iż....

— Mamże zedrzyć, lub użyć? prze-  
rwał niespokojnie Wagleer.

— Drzyj, powtórzył młodzieniec,  
przyrzekam milczenie. — Za ledwie

wyrzekał, papier rozleciał się na kawałki.

—Więc Zofja jest moją? zapytał potém.

—Tak — pamiętaj tylko na słowo —

Ach! jakżem ją drogą okupił, dodał piérwszy wychodząc powoli.

Wagleer chodził wielkim krokiem po pokoju, zastanawiał się, szedł znowu, śpieszniej lub powolniej, zdawało się, iż mu coś dolegało — nie mógł krótkiej chwili pozostać spokojnie na miejscu, i jakby go paliła rzecz każda, którą brał w ręce, rzucał ją niecierpliwie natychmiast. Zgarnął narazie rozrzucone papiery w kąt stołu — siadł, podparł się i mil-

czał. Przytłumione i niewyraźne *nie!* wyrwało mu się z ust, i sam jakby przełęczniony głosem, głucho rozchodzącym się po pokojach, porwał się, oglądając na wszystkie strony, ze stołka, i znowu szybko chodzić zaczął po zarzuconej zdar- tym papierem podłodze. Wlepił oczy w pozostałe szczątki, podniósł kawałek, zgryzł go, zżuł i porzucił. W tej chwili nieznajomy młodzieniec, stanął znów przed nim z miną zadumaną, a Wagleer cofnął się parę kroków zmieszany i wybąknął niezrozumiale.

— Cięży ci to na sercu młodzieńcze? nieprawdaż? Nie zmuszałem cię do tego jednakże, rzecz już się odmienić nie może, pozostaje nam

tylko dotrzymać uczynionych przyrzeczeń, a Waćpan, dodał zimno, nie nudź mię więcej skargami—już się stało.

—Stało się! powtórzył z westchnieniem nieznaomy.



---

## XIV.

### COŚ NAKSZTAŁT ROZWIĄZANIA.

---

Jacku, rzekł Rialto do niego, opowiedz no mu tę powieść, a zobaczysz jaki na nim skutek zrobi! Bo kogo przykrości i niebezpieczeństwa nie zwyciężyły, ten czasem od la-da słów kilku pokonany zostanie. To mówiąc chytry Bonończyk, posadził na wygodnem krześle szpic-ga, dał mu dzban miodu, a Jacek powieść zaczął.

DWOR ZYGMUNTA III. Pow. Hist.

Może się podąsa trochę na mnie czytelnik, że z nim sobie, jak z dzieckiem postępuję, i przenoszę co parę kart, to tu, to ówdzie; że nie opowiadam ciągle, ale zszywam

kawalki; lecz nielepiejby mnie uważał, gdybym mu szczegółowo i nudnie, bo jedno za drugim chodzi, opisywał każdy krok Pana Walerego, więc jedno za drugie i kwita; zaczynam pisać dalej.

W przestronnej sali, oświeconej dwiema lampami stojącemi na stołach, następne osoby zgromadzone były. W zaciemnionym kącie siedział zadumany i oparty Pan Walery; nie daleko na kanapie Panna Julja przerzucała książkę, dalej dziwném losu zrządzeniem, Panna Zofija i ów nieznajomy z poprzedzającego rozdziału jegomość żywą prowadzą rozmowę — Młody człowiek nie okazuje już na twarzy smutku i ponęszania, uśmiec-



cha się, jak gdyby odebrał brewe na Kardynała, a całuje tak nieustannie ręce Panny Zofii, jakby po raz ostatni w życiu ją widział.— Walery podobniejszy do posągu, niż do człowieka, nieporuszony, z zwieszoną na piersi głową i rękoma na krzyż założonemi siedzi, jakby o nowej krucjacie zamyślał.

—Ach! jakże długo czekać każe na siebie, zeicha rzekła Julja, chyba dziś może nie będzie.

—Przyjedzie niezawodnie, odpowiedział młody człowiek patrząc na Zofiję.

—Wszakto już blisko pół do dziewiątej, odezwał się Pan Walery— i wtém turkot zajeżdżającego powozu i odgłos stąpania, wszystkie

oczy ku drzwiom skierował — To on! szepnął Walery — i w tejże chwili wszedł służący niosąc herbatę.

— Kto tam przyjechał? zapytała Julia.

— Drwa przywieźli — spokojnie oddalając się odpowiedział służący i wyszedł. Długo bardzo po jego wyjściu nieprzerwane panowało milczenie, które brzęk filiżanek mięszal tylko niekiedy, aż się drzwi otworzyły, zbliżył się ktoś powoli, a gdy światło na twarz mu padło — poznano Waglecra. Na jego widok, Pan Walery jak gdyby usunął zamiar jakiś; porywa się i wesolo bieży ku niemu.

Waglecr przeląkł się i cofnął,

widząc obcessem doń bieżącego  
wojskowego, lecz młodzieniec tém  
się nie zraził, postąpił bliżej pou-  
fale i z udaną szczérością i weso-  
łością głośno go powitał. — Ko-  
chanego stryja! jakże się Pan do-  
brodziej miewa, jak idą interessa?

— Pan Walery! zeicha udając  
uśmiech rzekł starzec, witam Pa-  
na — rad jestem....

— Nie wątpię, że mi rad jesteś,  
kochany stryju! i dla tego właśnie,  
pomówić tu z nim przybyłem, ale  
potém o tém — To kończąc odwró-  
cił się od zmięszanego Waglecera i  
poszedł do Julii, a stryjasek sze-  
pnął coś na ucho ruszając ramio-  
nami i pokazując na Walerego —  
swej córce, która spuszczaając w dół

oczy, nie nie odpowiedziała. Humor starca był najgorszy, zdawał się zadumanym, niespokojnym, unikał synowca; a ten przeciwnie z nadzwyczajną wesołością ciągle przywiązywał się do niego i usiłował zawiązać rozmowę.

— Czegożeś taki posępny stryjaszku! pytał go ciągle; a ten niewyrozumiałemi odpowiadał mu słowami, wymykając się, ile mógł tylko, od niego. Tak minął czas do wieczery, po której, gdy się kobiety oddaliły, Walery wziął za rękę starca i poprowadził go do drugiego pokoju, tam posadził go gwałtem prawie na kanapie przy sobie, i zaczął z nadzwyczajną szybkością, opowiadać różne swoje

przygody w podróży do Włoch; tym kierunkiem rozmowy uspokoił trochę stryja, który się nawet niekiedy odzywał z pytaniem, lub uwagą — Pożno się robić zaczęło, a Pan Wagleer wstając z kanapy, radził spać się położyć.

— Jeszcze tylko jedno małe zdarzenie! zawołał Walery, proszę chwilę posłuchać. W czasie bytności mojej w Wenecji, zdarzył się tam następujący przypadek. Pewien opiekun, człek chytry i chciwy, w oddaleniu pupilla, pracował mocno nad zatrzymaniem sobie jego majątku.

— Możebyśmy lepicj spać poszli? odczwał się Wagleer.

— Ta powieść nie długa, rzekł

Walery, proszę chwilę posłuchać: nie mogąc, ów opiekun inaczej tego dokonać, sfalszował....

—Zle mi się zrobiło, rzekł znowu Wagleer, muszę wyjść na chwilę.

—Kończę natychmiast, szybko dodał synowiec, sfalszował tedy ogromny oblig, z nim wysłał jednego ze swoich wspólników.

—Nieprawda! krzyknął niemożąc się utrzymać Wagleer.

—Istotnie tak było, dodał zimno Walery— i odebrali majątek. Ale los, który bezkarnie niewinnych uciskać nie pozwala, wrzucił w ręce młodzieńcowi, ten oto kawałek papieru i wykrył mu zdradę. To mówiąc, dobył z puila-

resu list w Brewiarzu znaleziony i ukazał go stryjowi.

— Kłamstwo! potwarz! to nie ja pisałem! wrzasnął przerażony Wagleer.

— A któż to mówi? spokojnie przerwał Walery, tu jest podpis.

— Zdradzony jestem! dodał stryj rzucając się na krzesło, a Pan Walery schował list do pułaresu, i zaczął chodzić po pokoju.

— Muszę moją powieść dokończyć, rzekł potem, niech się stryjasek zatrzyma, dodał biorąc za rękę wychodzącego i wpatrując się w niego z krwią zimną — Pan jesteś opiekunem, ja jestem pupillem — proszę o zwrócenie majątku.

— Jakiego majątku?? rzekł poru-

szony i gwałtownie miotany niespokojnością starzec.

—Złym prawem zabranego, znowu powolnie i flegmatycznie, powiedział Walery, mam u siebie sfalszowany oblig z namowy Wacława i kilka dowodów, które mi oczy otwierają. Nie gniewajmy się na siebie, panie stryju, dodał później, cudzego nie proszę — ale o swoje dopominać się powinienem.

---



---

## XV.

### DZIEŃ W WARSZAWIE 1819.

---

..... po dżdżach idą pogody,  
Po przeszkodach nadszedł skutek!

KÖRNER II. ODYŃIEC.

— Witam, kochanego pana, rzekł jeden z przyjaciół Walerego, widząc go wchodzącego do siebie— znowu tedy przybyłeś do Warszawy?

— Na czas nie długi, odpowiedział pierwszy— staram się o dymissję.

— Żartujesz?

— Nie — istotnie, majątek który nie dawno odziedziczyłem, wymaga więcej wolnego czasu — rad jestem osiąść na wsi.

— Siadajże łaskawco, rzekł ów przyjaciel, spory zapewne objąłeś majątek, dodał potem.

— Otaxowano go do sześciu kroć.

— Przynieś nam wina, szepnął służącemu gospodarz.

— Jest przytém kilka kapitałów dość znacznych.

— Możebyś został u mnie na obiedzie? dodał podwajając grzeczności ów przyjaciel.

— Najchętniej, odpowiedział Walerj i rozmowa ciągnęła się dalej, w której nie szczędzono oświadczeń

przyjaźni, gorących życzeń i wina. Po obiedzie wyszli razem, i z radością wyczytali na czerwonym afiszu napis ogromnymi literami—*Wielka Reduta*; pod spodem zaś z uśmiechem znaleziono: *Rocha Pumpernika*. Jedźmy na *Wicjską kawę*! zawołali razem i w tej chwili posuwiste sanki wiozły już tam nowego dziedzica z przyjacielem. Mnóstwo osób zgromadzonych było w tym drewnianym i ciasnym domku, tak, że ścinny trzaskać się zdawały od natłoku. Przy jednym stoliku siedział młody człowiek z okularami na nosie, w ręku jednym trzymając filiżankę kawy, a w drugim świeżo wyszły numer *Tygodnika Polskiego*. Obok stał

otyły jakiś mężczyzna, modnie ubrany z fajką w ustach, uśmiechając się na uwagi młodego człowieka. Dalej modniś nucąc francuzką piosnkę rozmawiał, oparłszy się jedną ręką o murek, z młodą służącą poprawiającą dREWKA na kominie. Mnóstwo prócz tego mężczyzn w buchastych frakach, z trzcinkami lub parasolami w ręku, siedziało lub stało. Nie długo zwyczaj bawić się dozwalał w tém miejscu, ukazawszy się tylko znajomym, trzeba było pośpieszać do miasta przez *lipowe aleje*. Sanki różnego kształtu i zaprzęgu przewoziły wesołe tłumy młodzików, w których rozmowie slychać było często powtarzane nazwania *Fraskaty*, *Bagateli*, i ogrodu *Szuha*.

Nadeszła piąta, wszyscy śpieszą do *Wielkiej Manaŝeryi najosobliwszych zwierząt*, nie tak dla widzenia osobliwości, jak dla pokazania, że się nie opuszcza żadnej zabawy lub widowiska — Ztąd nie odbita konieczność woła na *Teatr przemian*; tu karły i zręczne marjonetki dłużej cokolwiek publiczność zatrzymać umieją, ale kończy się wystawa; nie mając czém czasu zapelnić, udać się trzeba na *kawę pod Kopciuszkiem* — Tu równy ścisk jak na *Wiejskiej*, a żywsza rozmowa —

— Wiesz, mówi wąsaty jakiś jegomość do sąsiada, Hrabina miała śliczną salopę, a i to nowintętką.

— Niepodobna! jej interessa jak

najgorzej idą, pozawczoraj mąż jej pożyzył w banku nie wielką sumnę, cały jego majątek jest w zastawie.

— A jednak Hrabina miała nową salopę — Pani *du Thon* pokłóciła się z mężem, słyhać o rozwodzie powiada inny.

— Od dawna się na to zanosilo, bo jej mąż strasznie skąpy, *chiche à faire peur!*

— Rzecz rzadka, odezwał się ktoś z kąta, aktorka nasza idzie za mąż!

— Żartujesz! zawołało kilka głosów razem.

— Niezawodnie! ex-laik jakiś ją bierze!

— Śliczna to będzie para! a śmiechy i wrzawa zatłumiły resztę.

— Czas na teatr! odezwał się ktoś

inny, i cała ciżba wypłynęła. Nowe widoki bawią tu ciekawe oko — łoże napełnione wytwornic ubranemi kobietami, parter zasiany mężczyznami, paradyz wystawujący prawdziwe chaos, nowe ubiory i muzyka — Tam rosparta na krześle dama wielkiego tonu, rzuca wzrok pogardliwy na przytomnych; ówdzie trzpiot szepece pochlebstwa ładnej, młodej mężatce, a gdzieindziej starzec znudzony oczekiwaniem, w krześle swoim sparlszy się na lasce, usypia — Między aktami rozchodzą się do bufetu widzowie, i przy szklance ponczu wesoło rozmawiają — Skończyła się sztuka, zapadła kurtyna, ustały oklaski; trzaskanie drzwi w łóżach i szmer wy-

chodzących słyszeć się dają, krzyżują się przed gankiem pojazdy, wołają o sanki, latarniarze uwijają się szybko z migającym światelkiem; Walery z przyjacielem jadą na Redutę. W nowym stroju ukazują się damy przybyłe z teatru, a przy świetle gęsto poustawianych świec, polyskują kamienie, muśliny, drogocne suknie i wdzięki zgromadzonych piękności — Ileż tu oczu śledzi wejście kochanka lub kochanki, ile rąk ściska się nieznacznie w polskim tańcu! ile tu krytyk, złośliwych uwag, uszczypliwych żartów, gładkich pochlebstw i przymówek — zliczyć nie można!

Bije pierwsza, zaczynają drzemać muzycy, zwolna już tylko wodząc



synyczkami, lub dmąc pociehu; ozdoby sali, Pani X. Y. Z. ( mówiąc językiem algiebraistów), znikły — Tłum się rozrzedza, zajeżdżają pojazdy, śpieszą ostatnie przygotowane pochlebstwo wypalić niektórzy ichmość; ostatnie wejrzenie odbierają kochankowie szczęśliwi; orkiestra kończy grę piskiem przerażliwym, i sale pustemi zostają.

Otoż to dzień przepędzony na wielkim świecie, dzień pełen roz-targnienia, pełen mniemanej zabawy i dzień nakoniec, na którego samo wspomnienie, ja i czytelnicy moi ziewają.

---

---

## XVI.

### UCZONY ENCYKLOPEDYSTA.

---

Pod stosem pism dawnych skurczeni  
siedzieli  
Dziwactwem najeżeni, wyślepli, żół-  
knieli.

KRASICKI.

— Co umiesz?

— Wzysztko zgłębiłem,  
Całe świata nauki i rozum wypilem.

— Ach, to strasznie mój bracie  
Musisz być pijany!!

DWAJ BRACIA, Kom.

— Dzień dobry, kochany Mie-  
czysławie, rzekł Walery wchodząc  
do mieszkania znajomego mu mło-  
dzieńca, mocno do nauk przywią-  
zanego.

— Przecież zawitałeś do mnie, kochany Panie, i wstąpiłeś na próg tej *aula musarum* — nieskończenie ci wdzięczem jestem za twoje odwiedziny, ale wybaczyć razem, że cię proszę siedzieć, a sam bilecik mały dokończę — To mówiąc usiadł, a Pan Walery obejrzał bacznie pokój, w którym siedział — Na wielkim stole kobiercem okrytym, rozrzuconych było kilkaset książek tu i ówdzie — La Bruyere z Sofoklesem, Herodot z Walter-Scottem, Tucydides z Freretem, Milton spoczywał z księgą Weda; na gotyckim postumencie leżał otwarty Szekspir, a tuż kolo niego świeżo wyszłe listy o Hieroglifach; kamień z częścią Persopolitańskiego napi-

sn, okryty był sporą kartą wysta-  
 wującą Zodiak z przysionku Ten-  
 tira — Piérwsze proby sztychów i  
 druków nieruchomych, szczątki al-  
 fresków starannie od muru odję-  
 tych, zdobiły ściany. Zepsuty i kn-  
 rzem przysuty automat, opierał się  
 na ułamkach posągów i kolumn;  
 naczynia gliniane naksztalt waz E-  
 truskich otaczały część tego poko-  
 ju. Na oknie leżał sztylet szklan-  
 ny sbirów, kindżał Turecki, i luk  
 Tatarski. Księgi różnojęzykowe in  
 folio stanowiły sporą warsztwę po  
 kątach, opartą na zbiorze edycyi  
 kieszonkowych — Proby Perskiego  
 i Arabskiego pisma z Samskrytskim  
 obok alfabetem, leżały osobno na  
 stoliczku. Kant z podróżą senty-

mentalną i d'Alambertem leżał na obszernie rozłożonym zbiorze kamieni z napisami; na piccu zastawały ciekawe oko kopije monet, osobliwie wschodnich i mniemanych Hebrajskich. Przez drzwi zaś, nieco otwarte widać było w drugim pokoju, łóżko oparte na słupkach z sutemi draperjami, kopije posągów Laokona, Apolina Belwederskiego i kilku nowszych; w głębi okno gotyckie, a po ścianach chińskie lakierowane obrazy. Na stoliku koło łóżka stał model wieży porcelanowej, leżał szlafrok, długa fajka z cybukiem ze trzciny bambusowcy i grecka czapczka — Pan Mieczysław wprędy ukończył bilecik i wstając z u-

śmiechem oświadczył, iż pokaże wszystkie osobliwości swego domu. Tu wysunąwszy kilka szuflad powymował ułamki starych rękopisów, kopiją staranną w Anglii robioną marmurów Arundela, czyli kroniki wyspy Paros, i tysiąc innych drobnostek, do których biblioman ów i antykwariusz, wielką przywiązywał wagę. Chodź, rzekł później, prowadząc dalej odurzonego mnóstwem Walerego, pokażę ci samą bibliotekę Angielską, to mówiąc z chlubą wskazał paki świeżo sprowadzone — To są moje skarby! zawołał namiętnie, dla nich życie, majątek i wszystko poświęcę!... Co za język ten Angielski!

( 193 )

— Mów chyba Literatura, przerwał gość skromnie, wiedząc o drażliwości panów uczonych.

— Ale i język jest piękny — oryginalny.

— Oryginalny? zapytał Walery, ja, jak słyszałem przynajmniej, mam go za najmniej oryginalny ze wszystkich, jest to zbieraczina.

— *Good Gott!* zawołał przeraźliwie pierwszy, co też ty pleciesz! z resztą, dodał ciszej, takie jest moje zdanie *and I the prefer to the autres in the welt languages.*

— Nierozumiem, przebąknął Walery, po jakiemu to?

— Po Angielsku, odpowiedział litując się nad jego niewiedomością Mieczysław — Ale teraz czas

iść do chemicznego gabinetu—  
 Otworzyły się drzwi i sala napel-  
 niona mnóstwem różnych naczyń,  
 okryta portretami, *Lavoisiego* *Hum-*  
*phry Davy*, *Chaptala*, *Hoppe* i *La*  
*Placa* ukazała się ich oczom. Bur-  
 ki, retorty, dzwony, słoje, słoiki  
 napchniały w dobrej harmonii i  
 zgodzie obszerne stoły; na piecy-  
 ku chemicznym smażył się jakiś  
 przysmaczek, a przed nim osobli-  
 wsza stała figura. Laborator z o-  
 ogromnymi wystającymi i podobnymi  
 do szklanych oczyma, na cien-  
 kich nóżkach, wybladły, z najeżo-  
 ną czupryną z rurką w ręku i ter-  
 metrem, na przybycie gości tak  
 straszną zrobił minę, iż Pan Wale-  
 ry o mało się nie cofnął i nie uciekł.



Gospodarz i Laborator Eufemiusz Piroforus, opanowali go natychmiast i dobrą godzinę męczyli, dopóki mu wszystkich osobliwości gabinetu niepokazali—Kwasy, niedokwasy, nadkwasy, przekwasy, podkwasy, occiany, metalle, półmetalle, solniki i cały regiment bzdurstw chemicznych, nasz gość obejrzeć musiał — Wszystkie nowe wynalazki, maszyny i zastosowania przeszły pod oczyma zmudzonego widza, napojonego i krztuszącego się od licznych, nie zbyt przyjemnych wyziewów — Ledwie ztąd wyszli, musiał znowu wysłuchać Walery dySSERTACII obszerniej o językach, bo Pan Mieczysław, przy wszystkich innych na-

ukach, uchodził także za lingwistę.

— O! wołał z zapalem, jakiejże doznaję rokoszy, wymawiając też same wyrazy, któremi do ludu mówili patryarchowie, też same — któremi Moyżesz śpiewał pochwały Boga! — nieposiadam się z radością odczytując w oryginale ojcapoetów, boskiego Homera! — Ale ale, czy widziałeś też mój zielnik? ach! mój zielnik uwielbiają naturaliści, jest on ze znajomych mi najkompletniejszy i zajmuje prawie wszystkie rośliny u Persona wymienione. Spójrzyjże teraz, dodał po chwili, na próby malowidła — oto kopija, którą z Guercina zacząłem. Metr mój uwielbia ta-

lent do rysunku jakim przyrodzenie mię obdarzyło, bo też prawda: *que la nature m'a traitée en mère passionnée!* Walery tymczasem, gdy wielomówność gospodarza nieustawała, dziwił się miłości własnej tak wysoko posuniętej — gdy wnet przerwał Mieczysław.

— Patrz, tę głowę Nerona niedawno zacząłem modelować z antyku — trudno zaiste ją dokładnie skopijować, ale czas to ułatwi — Cóż mówisz na to cudo flamandzkiej szkoły? — jest to oryginał Tenier-sa drogo nabyty — *a propos* śliczny zbiór szkiców młodszego Verneta posiadam — chciałbyś może je widzieć, ale teraz są pożyczone. Patrz tylko chwilę uatenteleskop angiel-

sanej roboty! co za dokładność i co za sztuka!

Anglicy tylko w moich oczach są ludźmi, a my — *des bêtes à manger du foin!* w najmniejszej rzeczy niegodzi się nam równać z niemi. Ale trochę się rozgadałem, Pannie Walery, rzekł w końcu dobywając zegarka, czas śpieszyć na sessiją naszą, w której ja i moi towarzysze rozbierać będziemy ważne z Analityki twierdzenie — Bądź zdrów łaskawy Panie, dodał wstrząsając go za rękę, na pierwszą dyssekciją, doświadczenie chemiczne, lub sessiją niezawodnie cię zaproszę — Polegaj na mnie.



---

## XVII.

### SĄSIEDZI.

---

Wysokie góry i odziane lasy !  
Jako rad patrzę na was, a swe czasy  
Młodsze wspominam, które tu zostały,  
Kiedy na statek człowiek mało dbały, —  
Gdziem potem nie był? czego nie kosztował ?

J. KOCHANOWSKI.

A jeśli gwałtowne mrozy  
Będą, a zima się sroży;  
W cieplej izbie przy kominie  
Siedzę, dokąd ona minie.

ZBYLITOWSKI.

Temu, kto odziedzicza znaczny  
majątek, łatwo wszystko idzie —  
choć albowiem ludzie ciągle bają  
o bezinteresowności, jedyną sprę-

żyną, ich czynności, stosunków, przywiązania i oświadczeń są — pieniądze. Wszystko zmierza do ich nabycia, chociaż jest różnica między tym, co cení pieniądze, dla pieniędzy, a tym, który się stara ich nabyć, dla uprzyjemnienia i ośłodzenia sobie życia.

Pan Walery łatwo za wstawieniem się przyjaciół otrzymał dymissiją, i porzucił Warszawę, dla swojej Powijówki. Liczne plany i zamiary snuły mu się po głowie, bo każdy życzy sobie upięknąć siedlisko, w którém ma życie przepędzić. W miastach cenią tyle tylko ludzi, ile ich pomocy potrzebują, na wsi zaś tyle, ile ich towarzystwo uczynić nam może przyjemności.

Piérwszém staraniem Pana Waleriego było, obejrzeć sąsiadów, bo jak powiada arabskie przysłowie, trzeba się przed nabyciem domu, o sąsiedzie uwiadomić, a przed drogą poznać towarzysza \*); tak też uczynił nowy dziedzic, bo piérwszém jego staraniem, po urządzeniu domu, było poznać sąsiadów.

Dom Pana Pysznickiego herbu Dudy, był piérwszym w sąsiedztwie, a opodal nawet znać już było charakter Pana, po malowanych stajniach i stodołach, wysokim pala-

---

\*) Proszę mię nie posądzić o pedanterją, jeśli to przysłowie przywiodę:  
*Ottiob el dżara, kabla el dari:*  
*ua el rafika kabla el ttarike.*

en z kolumnadą i gipsami, i fontannie bijącej na dziedzińcu. Suknia Arlekina nie miała na sobie tylu rozlicznych kolorów, co ów pałac, na którym całe bogactwa sztuki mieszania barw, hojnie rozsypane były. Nie mówię zresztą, ani o marmurowych schodach, ani o zaszczytnym herbie, nad drzwiami wymalowanym, z sowitą ilością łasek marszałkowskich, infuł, pałaszów, herbów, krzesł, buław, buzdyganów i t. d.; ani nareszcie o licznych portretach w sieniach wiszących, przodków Herbu Dudy. Wewnętrzne urządzenie pałacu, z całą pychą i bogactwem, starożytném i dzisiejszém, nie wielkie dawało wyobrażenie o guście Pana



domu. Nie brakło na bibliotece po antenatach odziedziczonej, w której wszystko złe i dobre się mieściło; trzymał także Pan Pysznicki Herbu Dudy wszystkie gazety wychodzące, chociaż ich nigdy nie czytał, miał wszystkie nowe maszyny, które bezużytecznie dla pokazania tylko gościom pokupował, mnóstwo termometrów i barometrów wisiało wszędzie na pokaz, zbiór medalów drogo kupiony leżał zawsze na wydatném miejscu, a mnóstwo drogich i rzadkich fraszek napelniało pokoje, do magazynów niż do mieszkania podobniejsze.

W pobliskim od tego domie Stolnika Bogackiego, szczątki staro-pol-

skiej zachowywały się prostoty. Jegomość chodził po polsku, nosił wąs i podgalał czuprynę; Jejmość w krochmalnym kornecie, i spodnicy w kwiaty, trndniła się gospodarstwem; panienki uczyły się czytać, pisać i rachować, ale nie znały fortepianu, ani gitary. Dom ten był gościnny, ale nie wesoly, i mało kto micszał spokojność ich gospodarstwa i zabaw niewinnych. Zamknięci w szczupłym obrębie swego domu, jedni w drugich świat cały mieli, a jedyném staraniem całej rodziny, było — wzajemnie się uszczęśliwiać.

Stary kawaler Pan Nicchętnicki po nich najbliższym był sąsiadem,

odstręczony od świata, którego same tylko znał przykrości, jedyną znajdował przyjemność, okrywać wszystkich śmiesznością, i istotne powiększać, a nowe na nich wymyślać przywary. Unikano go w towarzystwie, lękano się odwiedzin, słowem charakter tego człowieka, na któren więcej okoliczności, jak natura wpływała, był za niebezpieczny uważany. W jego domu nawet lękano go się, dla niezmiernej drażliwości, bo nie nieznająca omyłka, w gniew długi i nieprzeblagany wprowadzić mogła. Jedne tylko książki rozrywały smutne myśli, i widywano nawet jego satyryczność zmieniającą się w lągo-

dność , po przeczytaniu książki w tym rodzaju napisanej. W ogólności, chociaż charakter jego ciągiem smutnych wypadków nabral skłonności do melańcholii i satyry, z przyrodzenia jednak nosił cechę takiej giętkości, iż chwilowym zmianom podlegał, za najmniejszą pobudką; a każda książka na dni parę odmieniała jego charakter — uważano, że po przeczytaniu filozofii Kanta, a raczej metafizyki, omalo w łeb sobie nie strzelił — zapewne z przyczyny, iż nie nie rozumiał.

Baron Ładka bawił także w bliskości, i starał się osiągnąć pier-

wszeństwo przed Pysznickim. Przepych gustowny panował w jego domu; Baron zagorzały angielszczyzny przyjaciel, wszystko miał angielskie, i żonę nawet. Do swoich ogrodów, do fabryk i zakładów cudzoziemców używał. Mieszkanie jego wytworne napelnione było mnóstwem sług i dworaków, między którymi dwie trzecie części było zagranicznych ludzi. Umysł Barona ciągłego potrzebował zajęcia i ruchu; nowe coraz plany, zamiary, budowle, fabryki kręciły się w jego głowie, każdy rok nowe za sobą pociągał we wszystkiém odmiany i nowe tworzył gusta. Do tego nieustannego zajęcia łączyła się chęć popisywania, a najwięk-

szym jego nieprzyjacielem był ten, który go nie chwalił. Za śmiertelny grzech uważał, gdy się kto powążył zbijać jego zdanie, a żądza siła nigdy na nim nie wymogła, odstąpienia od zdań swoich. Żona jego skazana na wieczne potakiwanie, była mu bardzo ulubioną, z powodu swego powolnego charakteru, a dzieci w niesłychanej utrzymywał karności.

Dom jego był pełen etykietałnej gościnności, a codzienne prawie odwiedziny, wcale go nie męszały, bo miał zwyczaj udawać zajętego, ale się nigdy niczem nie zajmował szczerze.

Najszczególniejszym jednak z są-

siadów był Pan Pszonka, potomek owego sławnego prawodawcy Babińskiego, ponury filozof i matematyk.

Szczegółue postępowanie i charakter tego człowieka, sięgał o-  
czy wszystkich — mało mówił, nie  
pokazywał się w towarzystwie, dni  
całe przepędzał między filozofiją i  
matematyką w swoim gabinecie;  
nie wtrącał się do gospodarstwa,  
i wszystkie starania i rząd domu,  
żonie oddawał. Ona bawiła gości,  
czuwała nad majątkiem, prawowa-  
ła się, a samemu jegomości kupo-  
wała tylko książki i narzędzia. Za-  
topiony w głębokiej nauce, jak dru-  
gi Archimedes napisał na drzwiach

swoich: *Noli turbare*, i spokojnie pod tém godłem pracował, usta miał zawsze zamknięte, i wtedy tylko je otwierał, kiedy nieodzowna wymagała potrzeba. Zdawało się, że serce jego przez ciąg tych suchych zatrudnień, zostało pozbawione wszelkich uczuć mu wrodzonych, jedno tylko miał przywiązanie — do swej nauki, i na jej obronę długo zamknięte otwierał usta, ciemnymi dowodami zacność jej i pierwszeństwo okazując. Nie było innego sposobu wybadać odeń słowa, jak zaczepiwszy matematykę, lub filozofiją; wtedy ze stanu niemoty, przechodził do nieznośnej gadatliwości i nie prędszej ustawał, aż wszystkie wyczerpał dowody.



Ale porzuciwszy zresztą sąsiadów, czas żebym towarzyszył Panu Waleremu na wizytę do Pana Antoniego dawnego przyjaciela. Pozwolą tu czytelnicy, skreślić mi kilka obrazów osób, które tam zastał.



---

## XVIII.

### RÓŻNE OBRAZY.

---

Muzo! tobie ta chwała była zostawiona,  
Opisz tych licznych gości stroje i imiona!  
Wlej we mnie zapal, jakim Homer był prze-  
jęty,

Gdy ciągiem stare greków wyliczał okręty.

ZACHAREE, tł. Wyszkowski.

Na środku długiej kanapy spo-  
czywała zacna Pani Stołnikowa.  
Okrywała ją czarna taftowa suknia  
z buffami, pono jeszcze wyprawna,  
miała czarną z koronek Brabant-  
skich chustkę, na głowie perłami  
sadzony grzebień, a w ręku staro-  
dawny wachlarzyk z wyobrażeniem

ezulej jakiejs pary. Ta Pani kładła skarżąc się na ból głowy, rękę na czoło, żeby błysnąć pierścieniami, w które suche jej palce oprawione były. Obok mieściła się wdowa po Księżciu N., spozierając wzrokiem niechętnym na sąsiadkę. Ubior jej był zupełnie modny, usznurowana i wymuskana, wystawiała z pod krótkiej sukni maleńką i zgrabną nóżkę. Uśmiech jej był szydzący i przymuszony, wzrok niedbaly i powolny, a ułożenie tak wyrachowane i wyszukane, że się bała poruszyć, ażeby go nie zepsuć.

Pani Podskarbina siedziała z drugiej strony Stołuikowej, ledwie mogąc wytrzymać na swoim miejscu, kręciła się ciągle, oczu nawet przez

chwilę na jednym przedmiocie nie zatrzymała, usta jej cierpiały wiele, iż choć na chwilę zamknąć się musiały, a co minutę potok wyrazów płynął do uszu sąsiadki. Znała ją w całym sąsiedztwie z nadzwyczajnej interessowności o drugich, czyli plotkarstwa; zbierała rozliczne wzorki, puszczała dziwotworne pogłoski, nie jedną już poróżniła familją, nie jedną parę pokłóciła, ale po tych dowodach gorliwości, silniej jeszcze częstokroć okazywała co może.

Na miękkim taborecie ze spuszczoną głową i omdlałym wzrokiem siedziała hrabianka Olesia, tak ją nazywano w sąsiedztwie, na jej twarzy melaucholijna jakaś smę-

tność się malowała, znak oczywisty czulego serca. Czarno była ubrana, a wonny fioletów bukietik wędlnął przy jej boku — Obraz niewinności i szczęścia nie mógłby być od niej piękniejszym — czarne oczy, włosy ciemne, usta różane, i słodczy jakaś w obejściu i mowie, czyniła przyjemniejszą ją jeszcze.

Musiała wówczas myśleć o jakim bohaterze romansu, bo się zdawała mocno swemi myślami zajęta, a jej oczy wlepione były w ziemię. Biedna istota! może nie potrafiła znaleźć drugiego serca, któreby jej uczuciom odpowiadać umiało!

Za nią obszerne zajmowała miejsce Cześnikowa, jak powiadają, Wendeńska, antyk w swoim rodza-

ju, okryta ciemno-szafirową aksamitną suknią, w białych trzewikach, dużej żółtej chustce, i czépku z zieloncami wstążkami. Woreczek jej zszyty z trojkątnych sztuczek różnych materyj i mocno wypchany, leżał na kołanach. Córka jej Panna Petronella, wyprostowana i ściśnięta, w jasno zielonej merynosowej sukni z ponsowymi falbanami, obok siedziała, trzymając niepospolitej wielkości parasolik.

Za hrabiną z drugiej strony siedziała panna tyłkoco wzięta z klasztoru, bojaźliwa i nieśmiała, niepodnosząca nawet oczu, żeby się jej spojrzenie w drodze z obcym jakimś niespotkało; bawiła się woreczkiem i końcem chustki.

Pani Trzpiotalska i jej piesek następowali potém — oboje byli bardzo niespokojni, piesek za każdym szczekał, Pani zaś jego śmiała się, rozmawiała głośnicj od wszystkich, i głuszyła drugich, chcąc swego lubego *Koko* uspokoić.

Panna Julja zamykała szereg kobiet, a stryjenka chodziła tu i ówdzie po pokoju, z radośném obliczem solenizantki.

Mężczyźni bawili się w drugim końcu pokoju — Pan Skarbnik siedział nad małym stolikiem posuwając zwolna pionki na szachownicy, a ksiądz Pleban uśmiechając się spozierał na przeciwnika — Oba milczeli; niekiedy tylko wyrazy, mat, szach, laufer, królowa, z ust

się im jakby mimowolnie wymykały.

Cztery osoby obok zajęte były grą w karty; Pan Stolnik w sntym polskim stroju, pociągając wasa dawał lub zabijał; hrabia Drop, w świeżym stroju; we fraku buchastym, którego poly wążiuchno się u stóp schodziły; z chustką wysoko podwiązaną i szpilką brylantową; z karbowanym gorsem, sterczącym z pod brody; z olbrzymiem i dewizkami, które kazały się domyślać złotego repetijera; z szerokimi spodniami i bótami na wysokich obcasach; hrabia Drop, podziwienie młodzieży, grał, ale nudzić się zdawał, długimi namysłami współników swoich.



Trzecim przy tym stoliku był Pan Podskarbi; suchy, z żółtą twarzą, z nastrzępionym i siwym włosiem; w kontuszu tabaczkowym i żupanie złocistego koloru. Ogień panował w jego oczach i sprzeczać się zdawał z jego postawą powolną i malomównością. Cześnik był czwartym — długa opięta kapota jasno zielona, zachodziła do pięt, chustkę na szyi miał małą, ale za to pstrokata od tabaki, na pół łokcia z kieszeni wyglądała; siedział zaś bardzo delikatnie na krześle, dla tego, jak się zdawało, aby mógł prędzej wstać, gdy tego okoliczność wymagać będzie. Nadstawiał on ciągle ucha, czy do niego kto nie mówi — a za każdym słowem, zry-

wał się ze stolka i obarczał grzecznościami bez miary i końca. Kilka prócz tego osób przechadzało się po pokojach, a między niemi, starszek Pan Łyksza, z czerwoniuchym nosem, wesołą miną, z wytysiałą głową, na cienkich nóżkach dźwigających brzuch spory; chodził upatrując kieliszka i butelki.

W tym tedy stanie byli wszyscy, gdy wszedł Pan Walery. Julja, Antoni, stryjenska i pleban szczerze go przywitali; reszta osób, z rozmaitemi minami i poruszeniami: Pani Stolnikowa grzecznym ukłonem, wdowa po Księżciu dwuznacznym uśmiechem, Pani Podskarbina zaczęła szept, Panna Petro-

nella dygnęła *à la mode*, Pani Trzpiotalska puściła z nóg pieska, który nowo-przybyłego obległ, a reszta, jak kto mógł.



---

## XIX.

### ROZMOWA.

---

Siądźżeż moja rybeńko, rybenieczko  
rzadka,  
Klejnocie mojej duszy, da usiądźżeż  
proszę —  
Będziem słodką rozmowę płodzili ro-  
kosze.

FREDRO.

— Czyżto można było, rzekła  
Panna Julja do Walerego, na tak  
długi czas, o nas zapomnieć?

— Tyle się zatrudnić razem na  
moją głowę zważyło, odpowiedział,  
że pomimo szczerej chęci, odwie-

dzie łaskawych na mnie państwa  
nie mogłem.

—O, nie mówże mi Pan tego,  
przerwała pierwsza, wszystko mo-  
żna dokonać, przy dobrej chęci!  
ale widać, żeś Pan naprzód dla  
Warszawy, potem dla Powijówki  
zapomniał o nas. To mówiąc z u-  
śmiechem obejrzała się w kolo.

—Niech mi Pani wierzy, rzekł  
zmieszany gość do pięknej sąsiad-  
ki, żeś nigdy nie zapomniał o oso-  
bach, tak dla mnie łaskawych—  
ale interessa obarczały mię bez  
przerwy, tak, że pomimo kilka-  
krotnego postanowienia, nie mo-  
głem dopełnić najgorętszego mego  
życzenia.

—Ale ale— Panna Zofija zasy-

ła Panu ukłony; spodziewam się, że slyszałeś o jej zamęzciu.

—Słyszałem, zeicha odpowiedział Walery.

Ślicznie jej w czépku, i do tej pory bardzo szczęśliwa. Wspominała mi o Pańskim spotkaniu na drodze do Lublina, a wiem zkąd inąd, dodała z uśmiechem, żeś się Pan nią dosyć zajmował.

Nie mógł w swojej głowie znaleźć odpowiedzi Pan Walery, ani też Julja jej oczekiwała, bo natychmiast mówiła dalej.

—Mąż jej ma Pana w tych dniach odwiedzić.

—Bardzo mu będę wdzięczny— Jakże Pani przepędziła zapusty?

—Wybornie! była tu Zosia; wic-

Je gości mieliśmy w ostatni wtorek, bawiliśmy się do północy, a Pan-że to nie byłeś w Warszawie po zapustach?

—Nie, nie byłem, odpowiedział krótko Walery, próżno na dłuższą siłąć się odpowiedź.

—Pan zapewne tęskni po Warszawie.

—O, nic wcale; trudno w mo-jém przekonaniu tęsknić po wiel-kiém mieście, ja sto razy wiecej wolę.

—I ja także, rzekła Julja. 'Ty-siąc przyjemności wiejskich, całe miasta uciechy nagrodzić nie mo-gą. Natręty, nudne zabawy, wiel-kie wieczory, bale, są to rzeczy, które mnie zająć nie umieją.

— I mnie także, dla tego też nudziłem się w Warszawie.

— Dobrze tak Panu; nie trzeba było zapominać o przyjaciółach; byleś Pan za to ukarany, dodała z uśmiechem.

— Zkądże to dziś tutaj tyle gości?

— Dziś przecie imieniny stryjenki.

— Zupełnie byłem o tém zapomniał, szczęściem jednak, na sam dzień przyjechałem. Jakże się Pani ulubione kwiaty mają?

— Wybornie, poprawiliśmy teraz oranżerję — dostałam nowych, pięknych roślin od naszego doktora — A Pan musiałeś przywieść zapewne niemało książek.



— Bez nich nudnoby było na wsi— przywiozłem, i państwu też niemi będę się mógł przysłużyć.

— Bardzo będziemy wdzięczni— gdy to mówiła, drzwi przeciwne otwarły się z trzaskiem, a mężczyzna jakiś, średniego wzrostu i wieku, w długim surducie z pierścionkami na wszystkich palcach, z czubem, i książką w kieszeni, wszedł do pokoju, zbliżył się do rozmawiających; a będąc już tylko o dwa kroki, postrzegłszy zajęte miejsce przy gospodyni, zakręcił się i oddalił.

— Cóż to za figura? rzekł śmiech wstrzymując Pan Walery.

— To nowy nasz sąsiad, uczony litwin Alexy Mruczajło! niczno-

śny pedant, zaślepiony miłością własną, a przytém bardzo ograniczony. Udaje on filozofa i crudytę, a kto wie czy rozumie znaczenie tych wyrazów!

—Wyborny obraz! zechci mi zawołał Pan Walery wpatrując się w niego.

—Otóż znowu ku nam idzie, to go Pan poznasz lepiej.

W rzeczy samej powolnym krokiem zbliżał się Pan Alexy i usiadłszy obok Walerego, potarłszy czoło, zapytał? — Pan ze wsi, czy z miasta?

—Ze wsi.

—Pan czytuje?

—Czasem.

—Pan książki kupuje?

— Niekiedy.

— A jakie? zapytał z malującą się na twarzy radością literat, i wytrzeszczywszy oczyszukał odpowiedzi w spojrzeniu.

— Rozmaite, rzekł Walery uśmiechając się nieznacznie, filozoficzne na przykład.

— Umhu! rzekł kiwnąwszy głową uczony, rozumiem, a nie masz Pan czasem, dodał wpatrując się w oczy z miną zarozumiałą, *tautologicznych, etymologicznych, filantropicznych, politechnicznych, hermeneutycznych i niektórych innych?*

— Nie rozumiem, odpowiedział Walery.

— Pan nie rozumie? aha! to ja

rozumiem, Pan takich książek nie czytuje; a stare księgi Pan czyta?

— Jak wypadnie, rzekł pierwszy.

— Złe teraz czasy! nie znają się na dobrém, starych ksiąg nie czytają, *filologija i antropologija*, jako też *sfragistyka* upadają! to mówiąc westchnął głęboko, i patrzył w oczy znowu, usiłując w nich wyczytać podziwienie nad swoją erudycją; ale widząc, że milczący i ledwie od śmiechu mogący się utrzymać przeciwnik, nie nie mówi, westchnął, i sam tak dalej rzecz prowadził:

— Czasy bezecne! prawdziwej nauki i z Dyógenesową nie znajdziesz latarnią; a nieuków jak mrówek! Boli na to serce bezstronnym

ludziom, ale cóż? trzeba cierpieć; a rozum własny ukrywać, aby go na pośmiewisko nie wystawiać, i ja tak czynię!

— To bardzo sprawiedliwie!

— Ja mój Panie! na przykład, mówił wzięwszy Walerego za guzik, ja nocy nie dośpię, oczy straciłem, głowę suszę, a tu nikt na mnie i nie spójrzy! czy nie rozpaczę na to bierze? tylko sam Pan powiedz?

— Rospacz, tak, rospacz!

— Trzeba żebyś też Pan wiedział, że napisałem rozprawę: o *Cieplicach Rzymskich*; mam w rękopiśmie przełożony Słownik Hebrajski.... tego.... ach, bodaj go! tego.... zapomniałem tylko czyj, ale zaręczam, że ogromny! foljał straszny!

— To dużo Pan, jak widzę, napisałeś.

— Nie na tém koniec — zatrudniam się teraz dziełem ważnem: o *Klepsydrach, ich użytku, kształcie, sposobie używania etc.*, i wiele już, bo podobno arkuszy z 15ście napisałem, jednej mi tylko rzeczy brakuje, że nie widziałem nigdy Klepsydry!

— To mniejsza!

— Tak! i ja to powiadłam, że mniejsza.... Pan Walery chciał odchodzić. — Chwilę jeszcze zaczekaj, szanowny Panie! czy nie weźmiesz biletu na *Cieplice*? Będzie to książka in 4to, od 180 stron, na Berlińskim papierze, z rycinami — Czy Pan weźmie bilet?

—Wezmę, wezmę, śpiesznie  
rzekł Walery wymykając się od  
niego.

— Chwała Bogu! rzekł literat i  
posunął się dalej.



---

## XX.

### C E S I A.

---

Pastéreczka moja młoda,  
Co za wdziek, co za uroda!  
W bielszej od śniegu sukience,  
Sierp na ramieniu, kosz w ręce.  
Lecz idzie zwolna, nie śpiewa,  
Melancholijny obłoczek  
Przygasa wdzięki jej oczek!

KÖRNER tl. ODYŃIEC.

Jeszcze trochę cierpliwości, kochani czytelnicy! chwila tylko, a będziecie mogli porzucić czytanie. Pozwólcie mi jeszcze kilka skreślić obrazów, a ja potem pozwolę wam mówić na mnie, co się podoba, sądzić, jak się wam będzie zdawa-



ło, ganić, fukać, zlorzeczyć, bylebyście cierpliwie przeczytali do końca.

Nie ma podobno nic lepszego, jak życie wiejskie, człowiek jest w swoim domu, panem swej woli, zatrudnień; nie krępuje go etykieta, żyje według siebie, wolno mu płakać i śmiać się kiedy zechce, mówić lub milczeć, słowem tak postępować jak sobie życzy.

Zaledwie wstanie, wyborua kawa go oczekuje, służący pytają o roskazy, jedzie, idzie, lub w domu zostaje, według swej woli. Starania o gospodarstwie zabezpieczają go od nudy; ciągle nadzieje i widoki na przyszłość, utrzymują umysł jego w niepewności i zawie-

szeniu, czyli raczej w ruchu i zajęciu, nieodbicie do naszego szczęścia potrzebném. Wolny czas od zatrudnień można na wsi poświęcić tej zabawie, która nam się miłą zdaje od innych: polowanie, rybołówstwo, książki i tyle innych uciech, których wyszczególnić nie podobna, są mu dane do wyboru. Ozdoba swego mieszkania, rozszerzanie i upiększenie ogrodu i okolicy nieznacznie czas mu zabiera, i w tychto zatrudnieniach niewinnych, życie upływa powoli, jednostajnie, bez tych głośzących przyjemności wielkiego świata, które duszę czczością po sobie napełniają. A w końcu człowiek umiera.

Nie jeden tedy umiera, czyteln-

nicy! ale to jeszcze nie mój Pan Walery, bo ten żyje, i weale tak prędko na tamten świat wybrać się nie myśli.

Jednego dnia w lecie wyszedł nowy dziedzie do ogrodu z książką w ręku, zadumał się, postępował bez celu, i mijał już leszczynowy gaj bliski swego mieszkania, gdy ujrzał wysmukłej postaci dziewczę szybko przemykające się między krzakami.

— Coś ty za jedna? zapytał.

— Jestem córka ogrodnika; odpowiedziała Cesia i pobiegła dalej; a Pan Walery stał na miejscu, długo rozważając, jak córka ogrodnika mogła mieć tak ładne oczy, nsta, twarzyczkę, i uśmiech tak wdzięcz-

ny. Nie było w tém jednak nic tak bardzo osobliwego; dziewczyna była ładna, ale czyż na piękność ma być kontrybucja?

Piérwszy raz tego dnia uczuł Pan Walery, ten brak w domu, który mu Cesia przypomniła, i zaczął myśleć— o stanie małżeńskim. Nie bardzo bym ubawił czytelników, gdybym wymienił wszystkie *za* i *przeciw*, które się snuły w jego głowie— nie mogę jednak całkowicie tych rozmyślań pominąć.

— Póki nie mam żony i rodziny, myślał Walery, póty jestem wolny, póty czynności moje kieruję tylko tam, gdzie mi się podoba; gdy się ożenie będę musiał mniej więcej ulegać, będę musiał już nie

o siebie samego, ale o kilka dro-  
gich mi osób szczęście się starać.  
Ale znówu pozostać na przestron-  
nym świecie samemu jednemu,  
nie mieć nikogo, kto by smutek po-  
dzielił, kto by szczęścia kosztował  
razem, nie zostawić przy śmierci  
ani jednej duszy, któraby za nami  
lzę niezmyśloną wylała, dozwolić  
nakoniec uwiędnąć sercu, stwo-  
rzonemu do tkliwych uczuć, do-  
strzegać bezprzestannie brak jakiś  
drugiej duszy i istoty mogącej dzie-  
lić uczucia, tak silnie żądające po-  
działu: jest to przykro i bardzo  
przykro.

Po tej uwadze przyszła na myśl  
Waleremu młoda jaka, roztrzepa-  
na, rozrzutna, zalotna i wietrzua

żona; a serce odezwało się mimowolnie: *zachowaj nas Panie!*

Lecz, gdy na miejscu tego obrazu, niewinna, słodka, chętnie własne poświęcająca przyjemności dla uszczęśliwienia drugich, cicha i pobożna przyszła mu na myśl kobieta, serce rzekło: *trzeba się żenić!*

Krótko trwało to omamienie; wszystkie sztuczne ułożenia, zmyślona i pozorna dobroć, chwilowa łagodność, słowem: obluda i pokrycie swych skłonności, będące zasadą dzisiejszego modnego wychowania, przyszły ukryć wdzięczny obraz tkliwej i łagodnej małżonki — oburzyło się serce Pana

Walerego, drzwi się otwarły i Pan Niechętnicki wszedł do pokoju.

— Przyjechałem do Pana, rzekł zaraz, dla rozweselenia się, skryta melancholija dręczy mię w domu.

— Bardzo będę szczęśliwy, jeśli ją rozproszyć potrafię.

— No! to już i jegomość widzę zdobywasz się na komplementa— ale oświadczam, że się bez nich przy mnie obejść można; nadto znam ich szczérość pospolitą, abym im wierzył. Nie wiesz jeszcze mój Panie, boś młody, jak nieszczerymi są ludzie, lubią się ukrywać, aby łatwiej szkodzić mogli.

— Zupełnie temu wierzę, bo mię nauczyło doświadczenie.

— Więc zgoda między nami, kie-

dy się nasze zdania zgadzają; ale całkiem jeszcze mam głowę nabitą przeklętym Panem Ślopką. co to za szachraj, to nie masz wyobrażenia!

— Zkądże to?

— Ztąd, że mi już ciąglém klek-  
czeniem o nim głowę mało nie zbi-  
to — a on sam tak sobie ze mną po-  
stąpił, iż wierzyć teraz muszę wszy-  
stkim pogłoskom. Przeklęty sza-  
chraj! wyciął mi najpiękniejszy ka-  
wałek lasu, i teraz ofiaruje się ku-  
pić folwark, na którego gruncie  
zrobił szkodę! przeklęty szachraj!

— Nie piérwsza to jego sztuczka.

— O! ja ich nazbierałem z pół  
kopy na usługi, i przez szlachetną  
zemstę opowiadam jego historję  
z takimi szczegółami każdemu, że



moja prawdomówność obrazićby go bardziej niż pocieszyć mogła. Człowiek poczciwy lubi i ceni prawdę, bo mu ta złego wyrządzić nie może; a podły ów sknera, garnący tylko pieniądze, dla zaspokojenia nienasyconej żądz, lęka się światła dziennego, a od prawdy, jak od straszydła ucieka. Przeczkęty szachraj!

— Masz Pan zupełną słuszność.

— Bardziej się o tém jeszcze przekonasz, gdy ci jego historję opowiem. Wystaw sobie, że wyszedł z niczego, i początkowo służył za chłopca; ale przyrodzenie dało mu więcej niż majątek, bo mu dało pewne i nicomylne sposoby jego nabycia.

Miedziane czoło, podłość, sknerstwo, przebiegłość, pochlebstwo; oto sprężyny, które działały z nim razem. Z pierwszych kilkudziesięciu złotych, małym handelkiem dorobił się kilkuset, z tych wpędce obrotny Ślopka kilka tysięcy utworzyć potrafił, wziął w dzierżawę folwarczek, a w lat parę kupił go. Od tej pory szczęście towarzyszyć mu zaczęło, a śmiałość go nie opuszczała: dał chłopów, pożyczał na lichwę, wybierał cztery razy podatek, żydkowie dostarczali mu pomysłów, a Ślopka był wykonawcą — i w lat kilka wieś dokupił. Sąsiedzi zaczęli go szanować i oddawać mu wizyty, a prze-myślny jegomość śmiał się w du-

chu, że się jego pieniądzom, a nie jemu klaniano; ale go to mało obchodziło, bo dbał tylko o powiększenie majątku. Kto się stara a szczérze, kto poczciwość ma za nic, nie pyta o sposób, byleby dostać to czego żąda; Pan Ślopka do lat 35, zebrał ogromny majątek, ale nie przestał na tém, gorliwość jego nie miała granic — Nie było handlu, którenby go przynęta zysku nie złudził; przeklęty szachraj robił papier, sukno, płótno i możeby był został nawet garncarzem, gdyby w tym stanie przewidywał korzyść dla swojej kieszeni.

Nie wspominam już Panu jego processów, bo ich niesłuszność była w oczy całemu światu; — ale

czegoż nie zrobią pieniądze? gdyby całe prawa Pana Ślopki polegały tylko na chętcie posiadania cudzej własności, podłością i wtém doskonałby zamiarów. Przekłety szachraj! tyle nabroiwszy jeszcze mi wyciął mój najpiękniejszy kawał lasu. Niech mu tego Pan Bóg nie pamięta! Przekłety szachraj!!



---

## XXI.

### BLISKO DO KOŃCA.

---

Postrzegłszy wstrzymała kroku,  
Śmiech na ustach, łza na oku,  
Twarz jej cała,  
Ogniem pała,  
Chce coś mówić lecz nieśmiała,  
I jam się strasznie zaplonał.

KÖRNER, tł. Odyniec.

— Dokądże to idziesz moja miła?

— Do domu.

— A z kąd wracasz?

— Z ogrodu; narwałam sobie  
kwiatów, za pozwoleniem Pań-  
skiém, wszak się Pan nie będzie  
gniewał?

— O nie! moja kochana, tobie wolno zrywać co ci się podoba.

— A czemuż to mnie tylko?

— Czemu? czemu.... bo.... bo ja ci pozwalam.

— A czemuż Pan komu innemu nie pozwala?

— Bo kogo innego nie lubię.

— To mnie Pan lubi?! wolne żarty Pańskie, mnie matka mówiła, że to niebezpiecznie, kiedy Panowie nas lubią. Więc kiedy mnie Pan lubi, to ja muszę uciekać.

— Czekaj, czekaj! czegoż uciekasz odemnie?

— Bo Pan mnie lubi.

— A jak nie będę lubił?

— To znowu ucieknę.

— Czemu?

— Bo Panu będzie nieprzyjemnie zostać z tym, kogo Pan nie lubi.

— Filut z ciebie Cesio; kiedy się ze mną niechcesz zostać, to ja pójdę z tobą.

— Pan? do nas?

— A czemuż nie — chodź tylko, pogadamy przez drogę.

— O czémże ja będę z Panem rozmawiać, kiedy ja nic nie umiem.

— O sobie, rozmawiaj — ot na przykład, powiedz mi wiele masz lat?

— Szesnasty zaczęłam w przeszłym miesiącu.

— Co w domu robisz?

— Pomagam matce w gospodarstwie, czytam —

— A z kądże masz książki?

— U mego ojca jest ich pelen kufer— Otoż tedy, mówiłam Panu, że czytam, bo ja bardzo lubię czytać, choć czasem i burę od ojca dostanę; potem śpię, szyję, praszę— alboż to u mnie mało roboty? ho! ho! ja rzadki moment spróżnuję.

— Nie myśliszże iść za mąż?

— Ja? ot przyznam się Panu, że mając tyle tej roboty na głowie, ani razu o tém nie pomyślałam. Za mąż? — prawda że to ludzie idą za mąż, ale mnie to jeszcze do głowy nie przyszło — w przyszłą niedzielę, kiedy da Pan Bóg doczekać, jak nie będę miała roboty, to już muszę jakiś kwadrans o tém pomyśleć; ale ja się zagadalam, a my już i przed domem.



Gdy to kończyła, Pan Walery wszedł do starego Macieja, o którym słów parę powiem.

Człowiek ten był z rzędu zubożałej szlachty, licznie po Polsce rozsypanej, która będąc zmuszona szukać służby, nie pochlebia panom, robi swoją powinność i wzdycha do wyższego stanu, do którego zrodzoną się mniema.

Takim był i Pan Maciej — nieposzlakowana cechowała go poczciwość, przywiązany był do rodziny Walcrego, jak stary sługa; ale miał jedną wadę — że każdemu bez wyjątku lubił prawdę czystą powiedzieć i trochę pogdérać, jak to starzy umieją.

Domek jego w końcu ogrodu,

otoczony leszczyną, bżem i kaliną, był bardzo czysty i porządny. Ścieżka posypana piaskiem, prowadziła do niego, a na pierwsze wejście, zadziwiał porządek i czystość — dwie rzeczy rzadko łączące się z ubóstwem. Grace, grable, motyki, rydło, okna od inspektów i szklarni, dawały się widzieć w sieniach; w pierwszej zaś izbie sebnące nasiona, stół czysto zmyty, kilka krzeseł, i mnóstwo kopersztychów, między którymi obok S. Marcina i Pana Jezusa figurował *straszny* Król Pruski. Przez otwarte zaś drzwi widać było w alkierzu porozwieszany rząd sukien, osadzisty kapelusz święteczny z małym brzegiem, łaskę od-

świętną z wytartym lakierem, czapkę z uszami, stary palasz i inne graty. Stary Maciej widząc Pana w swoim domku niezmiernie się cieszył, Maciejowa wydobyła dawno nietknięty obrusik, zaskładała go i zastawiła przed swoim panem to, co było najlepszego w domu: świeżą śmietanę, podplomyki i kurczę. Stary ogrodnik tymczasem gdęrał i gawędził, rozszerzając się nad ulubionym sobie Panem Starostą, u którego młode lata przepędził.

—Lepsze to były czasy! mówił z westchnieniem, ludziom i panom lepiej było. Co sejmik bywało, to się człek upił miodem, najadł do woli, i do kieszonki jeszcze co schował — a dziś nikt o nas nie dba.

Nieboszczyk Pan Starosta, Panie świeć nad duszą jego, wielki był Pan, a dobrze się z ludźmi obcho-  
dził, to też my go i dziś jeszcze  
wspominamy!!

Gdy to mówił starzec, Pan Wa-  
lery zabierał się do wyjścia, po-  
żegnał tych dobrych ludzi, i ście-  
szką znów wracał zamyślony do  
domu. Ptaszki swiergoczące w le-  
szczynie, dzięcioł jednostajnie ku-  
jący drzewo, szelest listków poru-  
szanych wiatrem i oddalony odgłos  
szumiących wodnych młynów, ci-  
chość tylko przerywał. W kilka  
chwil dały się słyszeć kroki czyjeś  
w oddaleniu — była to Cesia z chu-  
stką w ręku, którą Pan Walery u  
Macieja zapomniał.

---

---

## XXII.

### OTOŻ I KONIEC.

---

Szczęśliwość się kryje w cieniu,  
Blżej czleka, niż rozumie  
Podział tego co życzeniu,  
Złożyć granice umie.

NIEMCEWICZ.

Zdziwi czytelnika zapewne, gdy mu powiem, że to co czytał w przeszłym rozdziale, kończy całą powieść — tymczasem tak jest w istocie, bo ja więcej nie o Panu Walerym powiedzieć nie mogę.

Nie wiem wcale, co się z nim działo przez lat pięć, czy się oze-

nił, czy chorował, czy się kochał, słowem nie a nie; opowiem tylko to, com się sam później dowiedział, i opiszę tu jeszcze na ostatku to, co się ściąga do poprzedniej mojej powieści.

---

W samą wigilję Bożego Narodzenia, przejeżdżałem zmrokiem, około porządnego dworu, z którego okien widać było światło; a z pobliskiej kuchni zziębłemu podróżnemu w nos załatywały przygotowywanych potraw zapachy. Słychać było drzwi stukanie i wołania służących; a po tych zachodach domyśliłem się, iż tu obchodzono wigilję jeszcze po staropolsku.

Gdym się tak przypatrywał, dziwna myśl przyszła mi do głowy; krzyknąłem na woźnicę: *zawracaj do dworu!* i wjechałem na dziedziniec.

Udałem obłąkanego podróżnego, nieświadomego drogi, a gdym pytał gospodarza o jego nazwisko, usłyszałem i dowiedziałem się, że to był Pan Walery! Nigdy Irwing znalazłszy pudełko od tytoniu i filizankę wspominaną przez Shakespearę, tak się nie mógł ucieszyć, jak ja, znalazłszy żywego, zdrowego, wesołego i żonatego — bohatera mojej powiastki.

Był albowiem Pan Walery żonaty; a o mało od zmysłów nie odszedłem, gdy swoją żonę imie-

niem: *Cesio!* zawolał. Była to młoda jeszcze kobieta, przyjemna blondynka, z rumianą, wesołą twarzą i ślicznymi niebieskimi oczyma. Trzymała ona za rękę pilnie przypatrującego się mnie chłopczyka, i na większe jeszcze moje podziwienie, bardzo piękną francuzczyzną mówiła do męża. Nie mogłem sobie pomieścić tego w głowie i sam siebie pytałem: czyż to ta sama Cesia?

Tymczasem oznajmił mi uprzejmy gospodarz, iż koniom odejść kazał do stajni, i prosił, abym u niego dzisiejszy wieczor zabawił.

Zezwoliłem na to bardzo chętnie, żeby się lepiej ocalemu domowi przypatrzeć; a gdy rozmawiam



z Panem Walerym — głos fortepianu słyszeć się daje. Nowe podziwienie dla mnie, Cesia tak płynnie, tak ładnie gra na fortepianie? Onaż to, czy nie ona? pytałem znowu sam siebie, i pełen domysłów, czekałem wyświecenia moich wątpliwości. Coraz przybywało gości, a między nimi poznałem Pana Niechętnickiego z satyrycznym uśmiechem na ustach, przechadzającego się z rękoma w kieszeniach po pokoju. Ksiądz Reformata zastępujący miejsce Kapelana, rozmawiał z jejmością, dziwiąc mnie swoim zalotnym układem i zapachami, któremi habit jego był zlany. Nie było to jednak nic dziwnego, bo jakem się później dowiedział, wie-

Iu bardzo księży, chwili bez czytania romansów zcierpieć nie mogą, a w rękawach ukryte niewają czule listy!!

Zbliżała się jednak godzina wieczerzy, i udaliśmy się wszyscy do sali jadalnej, ozdobionej długim rzędem portretów. Zupa migdałowa i barszczyk z uszkami, wyziewały przyjemną parę — podano do złamania oplatki, przy których życzyliśmy sobie wzajemnie długiego życia i pomyślności. Ksiądz Kapelan poblogosławił — usiedliśmy do stołu. Przypatrywaliśmy się mimowolnie długiej strucli, i z radością ujrzałem siano pod obrusem; lecz, gdy oczy podniosłem, ujrzałem nowoprzybyłą oso-

bę — była to Pani Maciejowa, którą Pan Walery matką nazywał —  
 Więc to ona! pomyślałem sobie,  
 to ta skromna Cesia!

Ojciec Kapelan jadł tymczasem  
 piwo z miodem, a nam zwykle roz-  
 noszono potrawy: okuń, szczupak  
 po żydowsku, łamańce z makiem,  
 gruszki, kasza perłowa z makowém  
 mléką i różne inne przysmaki,  
 kolejno następowały. Mnogość po-  
 traw nie tyle dziwiła, ile rozmowa  
 samej Pani, z której łatwo poz-  
 nawałem, że i literatura obcą jej nie  
 była.

W ciągłym zdumieniu przeszedł  
 mi wieczór bardzo mile — a spać

się kładąc jeszcze i rozmyślając nad gościnnością gospodarza, a uprzejmością gospodyni, powtarzałem : — Onże to, czy nie on — ona, czy nie ona?



---

## XXIII.

### ODEZWA

#### DO MOJEJ KSIĄŻECZKI.

Bądźcież łaskawi! jam pracy dokończył.

KRASIŃSKI.

Nie mogę puścić cię na świat szeroki, mała moja książeczko! póki ci nie dam błogosławieństwa i przestrogi. Wychodzisz na morze rozłukane literackiego świata, na którym tyle podobnych tobie, przy samém urodzeniu życie straciło; wychodzisz w odmęt miljona ksiąg rozmaitych, a wychodzisz, ażeby krótką, małą chwilę pożyć, i

zniknąć! Ileż to zawad, przykrości, ile udręczeń wycierpieć będziesz musiała! aeh, uacóż wyrywasz się odemnie mała książeczko. Na moim stoliku tak ci było spokojnie! Czasem tylko przyjaciel jaki wziął cię do ręki; a dziś — tylu nieprzyjaciół znaleźć się może na ciebie.

W podróży twojej, po nieznanym jeszcze ci świecie, pamiętaj ustępować z drogi Klassycznym Autorom, a strzeż się ich pudru, muszek i suchej otaczającej ich atmosfery — abyś się nie zaraziła. Nie radzę ci także bratać się ze starymi rękopisami i zbutwiałymi foljantami: dla ciebie nieestosowne towarzystwo tych ichmościów, są to pedanci, a twój wesoły chara-

akter, niezgodny z ponurém ich obliczem. Z romantykami takżę zaklinam cię, abyś się nie wdawała, ich lep, na który łapia zręcznie, mógłby i ciebie zwieść niedoświadczoną i młodą.

Zdala omijaj grammatyków z surową postawą, są to bicze, na takie jak ty utwory; wojna z niemi długa i nudna, bo nie wstępnym bojem, ale wycieńczeniem i usypianiem zmuszają do poddania się przeciwników.

Strzedz się takżę należy nierozsądnych fars, i tragedyi we czterech aktach prozą, jestto pewien rodzaj opium, szkodliwy dla zmy-

słów: chociaż z przystojnemi komedyjkami znajomość, wcaleby ci nie zawadziła.

Ulotne poezje, jeśli wesole, mogą być przypuszczone do twego towarzystwa; ale smętne, ponure, jęczące, a, co razem chodzi, usypiające — na nie ci się nie zdadzą.

Gdyby ci się przyszło spotkać, o czém wątpię, z obszernym, poważnym poematem, trzeba mu się pięknie uklonić, tylko nisko, bo ci ichność wiele bardzo rozumieją o sobie.

Historja, jak wiesz, daleka twoja krewna, ale dumna ze swego rodu; bo się od jakiegoś greckiego



foljału wywodzi ; może zechce wziąć cię pod swoją obronę, sama jej się jednak z tém nie nabijaj. Ma ona teraz i tak dosyć biędzy z uhogićmi krewnymi, którzy ją obsiedli i cały podobno przemarnują majątek — są to powieści historyczne, kuzynowie twoi, ale wielkie trzpioty. Nielitościwie obdzierają oni babkę swoją historją, z najlepszych jej kapitałów; a ta, choć dumna, nie wiem czemu pozwala im sobie grać na nosie. Zaczyna ta wdowa, choć trochę kokietka, wiele ci dopomódz może, ale sama się nie nabijaj, jak ci to już mówiłem, żeby cię ze wzgardą nieodepchnęła — Zresztą wybor towarzystwa zostawiam własnemu twemu rozeznaniu;

( 268 )

a przestrogi te tylko jako przy-  
wiązany dalem ci ojciec — teraz  
zaś, kiedy się tak wyrywasz — idź  
w świat niebogo!!

**KONIEC PIERWSZEJ POWIEŚCI.**



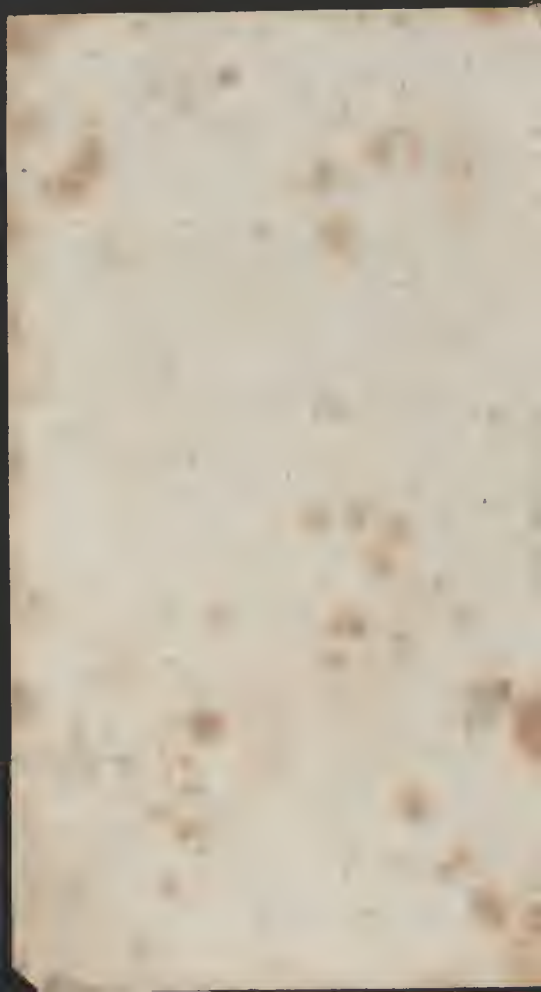
## NOTA.

### *Do Rozdziału VII. (Rok 1724).*

Zofja z Sieniawskich Denhoffowa, której tu opisaliśmy wesele, z wymienionej księgi; poszła po śmierci Stanisława Denhoffa za Alexandra Augusta Czartoryjskiego Wojewodę Ruskiego, i pierwsza około roku 1730 zaczęła zdobić, dzisiaj tak sławne z piękności Puławę.

Wśród tego czarownego miejsca, niedaleko od Łachy, ze trzech stron drzewami otoczony, wzniesiony jest na małym wzgórku, sarkofag z białego marmuru, kuło którego stoją zwykle dwa Cyprysy; i nosi na sobie następujący napis:

ALEXANDRO. AUGUSTO. CZARTORYSKI. ET  
MARIAE. SIENIAVIAE. PARENTIBUS. CARIS-  
SIMUS. ADAMUS. CZARTORYSKI F. ET ISA-  
BELLA. FLEMING. CONJUG. POSUERUNT. UT.  
QUORUM. BENEFICIIS. FRUUNTUR. IN. EOS.  
PIETATIS. ET. GRATI. ANIMI. MONUMEN-  
TUM. APUD. POSTEROS. EXSTARET.



Biblioteka Raczyńskich

**JK 1273**



**JK1273**